



HONORÉ DE BALZAC

Kobieta porzucona


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

HONORÉ BALZAC
KOMEDIA LUDZKA

Kobieta porzucona

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

OD TŁUMACZA

Trzy opowiadania zawarte w tym tomie szczególnie będą interesujące dla polskich balzakiistów (a liczba ich rośnie, widzę to z przyjemnością, z każdym dniem!), ile że wszystkie trzy powiadają nam o dalszych losach postaci tak dobrze znanych czytelnikom z *Ojca Goriot*. Ale niemniej interesującym będzie rzucić okiem na daty tych utworów: *Kobieta porzucona* powstała w 1832, a *Gobseck* w 1830 r.; oba na parę lat przed napisaniem *Ojca Goriot*, a na dłu-

go przed poczęciem planu *Komedii Ludzkiej*! Rzuca to światło na sposób wylęgania się tego olbrzymiego tworu w mózgu Balzaka: kształtowały się już poszczególne człony, nim stęzał kręgosłup i nim uświadomiła mu się koncepcja całości.

Pierwsze z tych opowiadań nasuwa jeszcze inną refleksję. Byłoby mianowicie ciekawe studium do napisania, pod tytułem: „Pierwiastek subiektywny *Komedii Ludzkiej*” lub coś w tym rodzaju; wyluskanie pierwiastka *zwierzenia*, spowiedzi, z tego tak obiektywnego i epickiego na pozór dzieła. Ten młody Gaston de Nueil, którego „wyczerpanego pracą” wysłano na prowincję, gdzie poznaje kobietę mającą tak zaważyć na jego życiu, mimo woli przywodzi nam na myśl samego Balzaka, którego, po wyczerpującej próbie paryskiej, matka ściągnęła do Villeparisis. Tam poznaje ową panią de Berny, której położenie w stosunku do Balzaka po dziewięciu latach tyle ma analogii z wątpliwościami pani de Beauséant, iż list tej ostatniej mógłby być łatwo uszczknięty z jej autentycz-

nej, tak wzruszającej i bolesnej, korespondencji. Balzac poznał wszystkie emocje nieśmiałej miłości wobec kobiety, która mu wówczas imponowała wszystkim; później przebyli oboje, mimo że z mniej tragicznym zakończeniem, wszystkie szarpania się kochanków, którzy, wedle słów łacińskiego poety, „żyć ani z sobą, ani bez siebie nie mogą”. Ale warunki ich życia były inne; pani de Berny, starsza zresztą od Balzaka o lat dwadzieścia parę, przyjęła rolę najwierniejszej przyjaciółki, w zamian zaś zachowała w jego sercu nigdy niewygasły kult dla tej, która w jego ustach i pod jego piórem nosi zawsze miano *dilecta*¹.

Wobec tego przede wszystkim *ludzkiego* charakteru analizy, dość dziecinną wydaje się polemika stoczona w swoim czasie przez dwóch Akademików, czy ta wielka dama Balzaka zachowuje się w pierwszym swoim widzeniu z Gastonem dosyć jak *dama*. Chodziło tu więcej o kobietę niż o damę: należało zaś poniekąd do literackiego konwenansu, iż delikatniejsze

¹*dilecta* (łac.) — ukochana, wybrana. [przypis edytorski]

uczucia demonstrowało się na cieplarnianym życiu wielkiego świata. Zresztą wszak i królowa, kiedy jej się spodoba ładny chłopiec, który nie zawsze jest królem, odkłada swoją koronę. Natomiast w tym pierwszym zetknięciu pani de Beauséant z Gastonem przedziwnie oddany jest ów styl „romantyczny”, pod którego wpływem tak mężczyznom, jak kobietom zdarzało się zakłamać w sztucznej i męczącej sytuacji, z której sami nie wiedzieli jak wybrnąć. Sposób, w jaki pani de Beauséant wyprowadza Gastona do Szwajcarii jest arcydziełem finezji psychologicznej.

Bank Nucingena to znowuż inny świat. To jeden z najbardziej esencjonalnych i najbrutalniejszych zarazem komentarzy do *Komedii Ludzkiej*. Nie oszczędził w nim Balzac swego bohatera, do którego ma wyraźną słabość i którego oglądamy zwykle w sympatycznym świetle: Rastignaka. Kto zna Rastignaka, młodego studenta z *Ojca Goriot*, a potem widzi go błyszczącym dandysem, dyplomata, wreszcie mężem Stanu, temu brakuje ogniwa łączącego fazy tej

paryskiej egzystencji, czuje jakąś lukę. *Bank Nucingena* wypełnia tę lukę w sposób odbierający wszelkie złudzenia. Możemy tylko podziwiać ojcowską pobłażliwość Balzaka wobec młodego ariwisty² i jeszcze raz uśmiechnąć się z owej „drogi cnoty”, na którą uciekł był przed pokusami Vautrina. Z tych dwóch bandytów, galernika i salonowca, nie wiadomo doprawdy, który jest niebezpieczniejszy. Ale Balzac to żywioł, któremu niełatwo jest wtłoczyć kaftan bezpieczeństwa *moralności*; wiele bardzo ostrych poglądów, które dla ostrożności kładzie w usta swoim cynikom, to są — trzeba się z tym pogodzić — jego własne poglądy... Pamiętajmy zawsze, że Balzac wzrastał w epoce gloryfikacji *Korsarza*³; otóż, prosta transpozycja: dla Balzaka korsarz paryski posiada ten sam romantyzm, co dla Byrona morski. Pamiętajmy wreszcie, że było to nazajutrz po owej gigantycznej

²*ariwista* (z fr.) — z fr. parweniusz, karierowicz. [przypis edytorski]

³*Korsarz* — ogromnie popularna powieść George’a Gordona Byrona. Opowiada o losach Konrada: przestępca, indywidualista i buntownika, który napada na króla Turcji i ratuje królową haremu. [przypis edytorski]

lekcji niemoralności, jaką dał światu Napoleon.

Bank Nucingena i technika jego operacji dostępnejsze są nam może dziś niż kiedykolwiek: przebyliśmy wszak niedawno gorączkę akcyjną i owe „grabki”, o których mówi Balzac, przejechały się po wszystkich po trosze, zostawiając im w biurku na pamiątkę kolekcję pięknie rytowanych kolorowych obrazków. Mimo to, nie dość ufałem sobie co do technicznych szczegółów i uważałem za potrzebne poddać pod tym względem mój przekład łaskawej kontroli wielkiego finansisty, a mego dobrego przyjaciela, p. Witolda Kadena, któremu na tym⁴ miejscu za jego uprzejmość składam serdeczne podziękowanie.

Boy

Warszawa, październik 1926 r.

*Księżnej d'Abrantès jej oddany sługa H. de
Balzac.*

⁴na tym miejscu — dziś: w tym miejscu. [przypis edytorski]

W roku 1822, z początkiem wiosny, lekarze paryscy wysłali do Dolnej Normandii młodego człowieka, który świeżo przeszedł chorobę zapalną spowodowaną wyczerpaniem nauką lub może życiem. Rekonwalescencja wymagała zupełnego spokoju, łagodnego pożywienia, chłodnego klimatu i zupełnego braku wrażeń. Bujne łąki Bessin oraz bezbarwne życie prowincji zdawały się tedy najodpowiedniejsze. Przybył do Bayeux, ładnego miasteczka o dwie mile od morza, do jednej ze swych krewniaczek, która przyjęła go z ową serdecznością właściwą ludziom nawykłym żyć samotnie, dla których przybycie krewnego lub przyjaciela staje się zbawieniem.

Pomijając drobne różnice, wszystkie małe miasteczka są do siebie podobne. Zatem po kilku wieczorach spędzonych u swojej kuzynki, pani de Sainte-Sevère, lub u osób, z którymi ona żyła, młody Paryżanin, baron Gaston de Nueil, poznał niebawem ludzi, których to zamknięte towarzystwo uważało za całe miasto. Gaston de Nueil odbył przegląd tego niewzru-

szonemu personelu, który defiluje przed okiem obserwatora w licznych stolicach owych dawnych Stanów tworzących wczorajszą Francję.

Była tam przede wszystkim rodzina, której dostojeństwo, nieznane o pięćdziesiąt mil dalej, uchodzi w danym powiecie za niezaprzeczone i wielce starożytne. Ta panująca rodzina w miniaturze spowinowacona jest, mimo że nikt się tego nie domyśla, z rodami takimi jak Navarreins, Grandlieu, ociera się o Cadignanów i czepia się Blamontów-Chauvry. Naczelnik tego znakomitego rodu jest zawsze zagorzałym myśliwym. Pozbawiony form, gnębi wszystkich swoją nominalną wyższością; toleruje podprefekta⁵ tak, jak znosi podatki; nie uznaje żadnej z nowych potęg stworzonych przez wiek dziewiętnasty i podnosi jako potworność polityczną fakt, że prezydent ministrów nie jest szlachcicem. Żona jego zadziera nosa, mówi głośno, miała wielbicieli, ale komunikuje regular-

⁵podprefekt — wyższy urzędnik administracji lub policji, podlegający prefektowi. [przypis edytorski]

nie co Wielkanoc; córki wychowuje źle, uważa, że za wszystko starczy im ich nazwisko.

Ani żona, ani mąż nie mają zresztą najmniejszego pojęcia o nowoczesnym zbytku: liberię⁶ mają jak z teatru, staromodne srebra, meble, powozy, jak również obyczaj i mowę. Ta zmurszała pompa dosyć się zresztą godzi z prowincjonalną oszczędnością. Słowem, jest to dawna szlachta, bez praw lennych, bez sfory⁷ i galonów⁸; wszyscy pełni reweransów⁹ między sobą, wszyscy oddani dynastii, którą widują jedynie z daleka. Ten historyczny dom *incognito* zachował myszkę starego gobelinu.

W takiej rodzinie wegetuje niechybnie jakiś wuj albo brat, generał, kawaler orderów, dworak, który zdobywał Hanower z marszałkiem de Richelieu i którego znajdujecie tam niby zabłąkaną kartkę starego pamfletu¹⁰ z czasu Ludwika XV.

⁶*liberia* — umundurowanie służby. [przypis edytorski]

⁷*sfora* — psy myśliwskie. [przypis edytorski]

⁸*galon* — złota naszywka na mundurze. [przypis edytorski]

⁹*rewerans* (daw.) — przesadnie uprzejme zachowanie. [przypis edytorski]

¹⁰*pamflet* (daw.) — utwór literacki o charakterze ośmieszającym. [przypis edytorski]

Przeciwieństwo do tych wykopalisk stanowi rodzina bogatsza, ale mniej starożytna. Państwo spędzają w zimie dwa miesiące w Paryżu, skąd przywożą lekki ton i kaprysy sezonu. Pani lubi się stroić, ale zawsze jest nieco sztywna i zawsze spóźnia się z modą. Mimo to drwi sobie z otwartej rubasznosci swoich sąsiadów, srebra są u niej nowoczesne, ma gro-
omów¹¹, Murzynów, kamerdynera. Najstarszy syn ma tilbury¹², nie robi nic, ma majorat¹³; młodszy jest audytorem w Radzie Stanu. Ojciec, bardzo wtajemniczony w intrygi ministerialne, opowiada anegdoty o Ludwiku XVIII i pani de Cayla: lokuje pieniądze w pięcioprocentowej rencie, unika rozmowy o gatunkach jabłecznika, ale popada jeszcze niekiedy w manię prostowania cyfry okolicznych majątków, jest członkiem rady generalnej, ubiera się w Paryżu i nosi krzyż Legii Honorowej. Słowem,

¹¹*groom* (ang.) — chłopiec pracujący w stajni, który opiekuje się końmi. [przypis edytorski]

¹²*tilbur* — rodzaj powozu. [przypis edytorski]

¹³*majorat* — zasada, wedle której majątek dziedziczy najstarszy syn. [przypis edytorski]

szlachcic ten zrozumiał Restaurację i robi interesiki w Izbie; ale rojalizm jego jest mniej czysty niż rojalizm rodziny, z którą rywalizuje. Abonuje *Gazetę* i *Debaty*. Tamta rodzina czyta tylko *Quotidienne*.

Ksiądz biskup, dawny generalny wikariusz, lawiruje między tymi dwiema potęgami, które mu oddają część należną religii, ale dają mu niekiedy uczuć morał zamieszczony przez dobrego La Fontaine'a na końcu bajki o *Ośle obładowanym relikwiami*. Biskup nie jest szlachcicem.

Następnie idą gwiazdy drugorzędne, szlachta zażywająca dochodu od dziesięciu do dwunastu tysięcy rocznie, ex-kapitanowie okrętu albo rotmistrze kawalerii, albo w ogóle nic. Człapią konno po gościńcach, coś niby proboszcz jadący z sakramentami, niby kontroler podatków na objeździe. Prawie wszyscy służyli w paziach albo w muszkietierach i dożywają spokojnie dni na swoim folwarczku, więcej troszcząc się o wyrąb lasu albo o jabłecznik niż o monarchię. Mimo to paplą o kon-

stytucji i o liberałach między dwoma robra-
mi wista¹⁴ albo przy partii tryktraka¹⁵, skoro
już obliczą wyczerpująco posagi i skombinują
małżeństwa zgodnie z genealogią, którą umieją
na pamięć. Żony ich dmą i przybierają dwor-
skie miny w swoich plecionych bryczuszkach;
sądzą, że są ubrane, kiedy się wystroiły w szal
i czepeczek; kupują dwa kapelusze na rok, ale
po dojrzałym namyśle i każą je sobie przywo-
zić z Paryża przez okazję; są zazwyczaj cnotliwe
i gadatliwe.

Koło tych filarów arystokratycznego klanu
skupia się kilka dobrze urodzonych starych pa-
nien, które rozwiązały problem zmumifikowa-
nia ludzkiej istoty. Robią wrażenie, że są przy-
pieczętowane do domu, gdzie się znajdują; twa-
rze ich, toalety, stanowią część budynku, mia-
sta, prowincji, są jej tradycją, pamięcią, du-
chem. Wszystkie mają coś sztywnego i monu-
mentalnego, umieją uśmiechać się i potrząsać

¹⁴wist — gra karciana. [przypis edytorski]

¹⁵tryktrak — gra planszowa. [przypis edytorski]

wymownie głową, i od czasu od czasu mówią coś, co uchodzi za dowcip.

Paru bogatych łyków¹⁶ wślizgnęło się w to miniaturowe Saint-Germain dzięki swoim arystokratycznym przekonaniom albo swemu majątkowi. Ale mimo ich czterdziestu lat mówi się tam o nich: „Ten chłopak ma zasady!” i robi się z nich posłów. Zazwyczaj cieszą się poparciem starych panien, ale też gada się o tym.

Wreszcie paru księży, których przyjmuje się w tym wybranym towarzystwie dla ich sukienki lub dla ich rozumu i dlatego, że owe szlachetne osoby, nudząc się między sobą, wprowadzają do swoich salonów element mieszczański, tak jak piekarz dodaje drożdży do ciasta.

Suma inteligencji skupiona we wszystkich tych głowach składa się z pewnej ilości dawnych pojęć, do których miesza się parę nowych myśli wypiekanych wspólnie co wieczór. Podobne do wody ciekącej z kurka, frazesy wcielające tę myśl mają swój codzienny przyływ i odpływ, swój wiekuisty ruch, ściśle jednaki:

¹⁶łyk (daw., pogard.) — mieszczanin. [przypis edytorski]

kto słyzy ich pusty szmer dzisiaj, usłyzy go jutro, za rok, wiecznie. Wyroki ich, wydawane niezmiennie o sprawach tego świata, tworzą tradycyjną wiedzę, do której nikt nie ma mocy dodać kropelki inteligencji. Życie tych rutynistów kręci się w sferze przyzwyczajzeń równie zakrzepłych jak ich poglądy religijne, polityczne, moralne i literackie.

Skoro ktoś obcy dostanie się do tego kółka, każdy mówi mu nie bez odcienia ironii: „Nie znajdzie pan tu zabaw swego paryskiego świata!” i każdy wymyśla na życie swoich sąsiadów, starając się dać do zrozumienia, że on jest wyjątkiem w tym towarzystwie, które silił się jakoby nadaremnie zmienić. Ale jeśli, nieszczęściem, ów obcy potwierdzi w najlepszej wierze sąd, jaki ci ludzie mają o sobie wzajem, natychmiast będzie uchodził za człowieka złego, bez czci i wiary, za zepsutego Paryżanina, *jak zresztą wszyscy Paryżanie*.

Kiedy Gaston de Nueil pojawił się w tym światku, gdzie przestrzegano bardzo ściśle etykiety, gdzie wszystko harmonizowało z sobą,

gdzie wszystko było jawne, gdzie walory rodowe i terytorialne notowane były jak kursy giełdowe na ostatniej stronicy dzienników, zważano go z góry na nieomylnych szalach miejscowej opinii. Już krewniaczka jego, pani de Sainte-Sevère, ogłosiła cyfrę jego majątku, cyfrę jego nadziei, rozpostarła jego drzewo genealogiczne, zachwalała jego znajomości, jego dobre wychowanie i skromność. Znalazł przyjęcie ściśle takie, do jakiego mógł sobie rościć prawo: przyjęto go jak dobrego szlachcica, bez ceremonii, bo miał dopiero dwadzieścia trzy lata; ale kilka młodych panienek i ich matki robiły do niego słodkie oczy. Miał osiemnaście tysięcy renty w ziemi w dolinie Auge, a ojciec miał mu wcześniej lub później zostawić zamek Manerville z przynależnościami. O jego wykształceniu, przyszłości politycznej, jego wartości osobistej, talentach, nie było nawet mowy. Ziemie były dobre, dzierżawy pewne: były tam wyborne plantacje, naprawy i podatki ciążyły na dzierżawcach, jabłonie miały po trzydzieści osiem lat, ojciec wreszcie był w trak-

cie kupna dwustu morgów¹⁷ lasu przylegających do jego parku, który chciał otoczyć murem; żadne widoki ministerialne, żadna sława ludzka nie mogła walczyć z takimi korzyściami. Czy przez złośliwość, czy przez wyrachowanie, pani de Sainte-Sevère nie pisnęła nic o starszym bracie Gastona, a sam Gaston też o nim nie wspominał. Ale ten brat to był suchotnik¹⁸; wszystko wróżyło, że będzie niebawem pochowany, opłakany, zapomniany.

Gaston de Nueil zrazu bawił się tymi figurami, zbierał z nich niejako wzorki do swego albumu w całej smakowitej prawdzie ich kościstych, ostrych, pomarszczonych fizjognomii, w ucieszonej oryginalności ich strojów i gestów; rozkoszował się prowincjonalizmem gwary, ubóstwem myśli i charakterów. Ale wiodąc przez jakiś czas ową egzystencję podobną do życia wiewiórki obracającej klatkę, uczuł brak kontrastów w tym życiu wytyczonym z góry jak życie mnichów w klasztorze i popadł w stan,

¹⁷*mórg a. morga* — daw. jednostka miary gruntu. [przypis edytorski]

¹⁸*suchotnik* — osoba cierpiąca na gruźlicę płuc. [przypis edytorski]

który nie jest jeszcze nudą ani wstrętem, ale zawiera w sobie prawie wszystkie ich objawy. Po lekkich cierpieniach tego przesilenia dokonuje się w osobniku zjawisko transplantacji na grunt, który mu jest przeciwny, gdzie musi zmarnieć i wieść charłacze¹⁹ życie. W istocie, o ile go nic nie wyrwie z tego świata, przyjmuje nieznacznie jego obyczaje i dostraja się do jego pustki, która mu się udziela i zjada go. Już płuca Gastona przyzwyczajały się do tej atmosfery. Już doznawał niejakiego roślinnego szczęścia w tych dniach pędzonych bez trosk i bez myśli, zaczynał tracić pamięć owego krążenia soków, owego nieustannego zapłodnienia umysłu, w które tak namiętnie rzucił się w sferze paryskiej i miał skamienieć wśród tych skamieniałości, i zostać tam na zawsze, jak towarzysz Odysa, rad ze swej tłustej powłoki.

Pewnego wieczora Gaston de Nueil siedział między starszą damą a jednym z generalnych wikariuszów diecezji w salonie z boazeriami ma-

¹⁹charłaczy (daw.) — upośledzony, niedorozwinięty, niezdrowy; tu przen.: ubogi duchowo i intelektualnie. [przypis edytorski]

lowanymi na szaro, wyłożonym fajansowymi kafelkami, ozdobionym paroma portretami rodzinnymi, zaludnionym czterema stolikami do gry, dokoła których szesnaście osób paplało, grając w wista. Tam nie myśląc o niczym, ale trawiąc jeden z owych pysznych obiadów będących specjalnością prowincji, spostrzegł, iż zaczyna się godzić z tym trybem życia. Rozumiał czemu ci ludzie posługują się wczorajszymi kartami, tasują je na wytartym suknie i jak dochodzą do tego, że w końcu nie ubierają się ani dla siebie, ani dla drugich. Widział pewną filozofię w jednostajnym ruchu tego mechanicznego życia, w spokoju tych logicznych przyzwyczajzeń i nieświadomości wykwiutu. Rozumiał niemal bezcelowość zbytku. Paryż ze swymi namiętnościami, burzami, uciechami był już w jego pamięci niby wspomnienie dzieciństwa. Szczerze podziwiał czerwone ręce, skromną i wylęknioną minkę młodej osoby, której twarz z pierwszego rzutu oka wydała mu się głupia, wzięcie bez wdzięku, całość odstręczająca, a minki bardzo śmieszne.

Już przepadł. Przeniesiony z prowincji do Paryża, miał opaść z gorączkowej egzystencji paryskiej w zimne życie prowincjonalne, gdyby nie jedno zdanie, które obito mu się o uszy i przejęło go nagle wzruszeniem, podobne temu, o jakie by go przyprawił jakiś oryginalny motyw wśród przegrywek nudnej opery.

— Wszak pan był wczoraj u pani de Beauséant? — rzekła stara dama do głowy prowincjonalnej dynastii.

— Byłem dziś rano — odparł. — Zastałem ją bardzo smutną i tak cierpiącą, że nie mogłem jej namówić do nas na jutro na obiad.

— U pani de Champignelles? — wykrzyknęła stara dama z odcieniem zdumienia.

— U mojej żony — rzekł spokojnie szlachcic. — Czyż pani de Beauséant nie wie się z domu burgundzkiego? Po kądzieli, to prawda, ale ostatecznie to nazwisko pokrywa wszystko. Moja żona bardzo ma dużo sympatii do wicehrabiny, a biedna kobieta żyje tak długo samotnie, że...

Wymawiając ostatnie słowa margrabia de Champignelles spoglądał spokojnie i chłodno po osobach, które słuchały przyglądając mu się, ale prawie niepodobna było zgadnąć, czy on robi ustępstwo dla nieszczęść, czy dla szlachectwa pani de Beauséant, czy mu pochlebia przyjmować ją u siebie, czy też chce przez dumę zmusić miejscową szlachtę i damy, aby ją zaczęli przyjmować.

Wszystkie panie zdawały się naradzać z sobą wymieniając spojrzenia, ale głęboka cisza, jaka naraz zapanowała w salonie, niemniej jak miny obecnych wyrażały potępienie.

— Ta pani de Beauséant, czy to może ta sama, której przygoda z panem d’Ajuda-Pinto narobiła tyle hałasu? — spytał Gaston sąsiadki.

— Właśnie — brzmiała odpowiedź. — Przybyła, aby zamieszkać w Courcelles po ślubie margrabiego d’Ajuda; nikt jej tu nie przyjmuje. Jest zresztą zbyt inteligentna, aby nie czuć swego fałszywego położenia, toteż nie próbowała bywać nigdzie. Pan de Champignelles i kilku panów złożyli jej wizytę, ale przyjęła jedynie

pana de Champignelles, może z powodu ich pokrewieństwa przez Beauséantów. Stary margrabia de Beauséant zaślubił pannę de Champignelles ze starszej linii. Mimo że wicehrabina de Beauséant uchodzi za córkę domu burgundzkiego, pojmuje pan, że nie możemy dopuścić tu kobiety separowanej z mężem. To są stare pojęcia, ale jesteśmy na tyle głupi, że się ich trzymamy. Wicehrabina tym bardziej godna jest potępienia w swoich wybrykach, że pan de Beauséant to człowiek doskonale wychowany, człowiek dworski w każdym calu; doskonale można było się z nim porozumieć. Ale ta kobieta to szalona głowa...

Pan de Nueil słyszał głos swojej sąsiadki, ale już jej nie słuchał. Bujał w świecie tysięcznych fantazji. Czy istnieje inne słowo, aby wyrazić powab przygody miłosnej w chwili, gdy się uśmiecha wyobraźnia, gdy w duszy lęgną się mgliste nadzieje, przeczucia niewymownych upojień, lęków, burz, mimo iż nic jeszcze nie karmi ani nie utrwała tego kapryśnego mirażu? Duch buja wówczas, płodzi niemożliwe projekty, da-

je zawczasu kosztować rozkoszy namiętności. Ale może zarodek namiętności zawiera ją całkowicie, jak nasienie zawiera piękny kwiat z jego wonią i bogactwem kolorów. Pan de Nu-eil nie wiedział, że pani de Beauséant schroniła się do Normandii po skandalu, który budzi u kobiet zgorszenie połączone z zazdrością, zwłaszcza gdy czar młodości i urody usprawiedliwia niemal błąd będący jego przyczyną. Istnieje jakiś niepojęty urok we wszelkim rozgłosie, z jakichkolwiek zrodziłby się źródeł. Zdaje się, że dla kobiet, jak niegdyś dla rodów, sława zbrodni maże jej wstyd. Tak samo jak jakaś rodzina chlubi się swymi ściętymi głowami, tak ładna i młoda kobieta staje się powabniejsza przez wątpliwą sławę szczęśliwej miłości lub okropnej zdrady. Im godniejsza współczucia, tym więcej budzi sympatii. Jesteśmy nie-litościwi jedynie dla pospolitych spraw, uczuć i przygód. To, co ściąga spojrzenia, wydaje się wielkie. Czyż nie trzeba w istocie wznieść się nad drugich, aby być widzianym? Otóż tłum doznaje mimo woli uczucia szacunku wobec

wszystkiego, co nad nim góruje, nie żądając zbytnio rachunku z środków.

W tej chwili Gaston de Nueil czuł, że go prze ku pani de Beauséant tajemne działanie tych przyczyn lub może ciekawość, potrzeba wprowadzenia jakichś wzruszeń w swoje obecne życie, słowem owa masa pobudek niepodobnych do określenia, a które wyraża się niekiedy słowem *fatalność*. Wicehrabina de Beauséant wyrosła przed nim nagle otoczona tłumem czarownych obrazów: była nowym światem, przy niej z pewnością trzeba się było lękać, spodziewać, walczyć, zwyciężać. Musiała stanowić kontrast z osobami, które Gaston widział w tym parafiańskim salonie; słowem to była *kobieta*, a nie spotkał jeszcze kobiety w tym zimnym świecie, w którym rachuba zastępowała uczucie, gdzie grzeczność była już tylko powinnością i gdzie najprostsze myśli miały coś zanadto jaskrawego, aby je można było wygłaszać lub znosić. Pani de Beauséant budziła w jego duszy wspomnienie młodzińskich marzeń oraz najżywszych uczuć uspionych na chwilę.

Gaston de Nueil był roztargniony przez resztę wieczoru. Myślał o sposobach dostania się do pani de Beauséant, a z pewnością nie było sposobu. Uchodziła za niezmiernie inteligentną. Ale o ile osoby inteligentne mogą się dać porwać rzeczom oryginalnym lub subtelnym, o tyle są wymagające, umieją wszystko zgadnąć; w niebezpiecznej pogoni za ich łaską ma się więc tyleż szans, aby się zgubić, co aby wygrać sprawę. Przy tym wicehrabina z rodową dumą musiała łączyć godność, jaką nakazywało jej jej położenie. Głęboka samotność jej życia była z pewnością najmniejszą zaporą wzniesioną między nią a światem. Prawie niepodobieństwem było wtedy obcemu, choćby z najlepszej rodziny, dostać się do niej. Mimo to nazajutrz rano pan de Nueil skierował się spacerem w stronę pałacyku w Courcelles i kilka razy obszedł ogród, który go otaczał. Zmamioty złudzeniami tak naturalnymi w jego wieku, patrzył przez szczeliny albo ponad mury, przystawał w zadumie przed zamkniętymi żaluzjami lub badał te, które były otwarte. Wierzył

w jakiś romantyczny przypadek, kombinował jego przebieg, nie bacząc na niemożliwości, aby dostać się do nieznajomej. Tak przechadzał się przez kilka poranków wielce jałowo, ale za każdą taką wyprawą ta kobieta stojąca poza światem, ofiara serca zagrzebana w samotności, rosła w jego myśli i wciskała się w jego duszę. To też serce Gastona biło nadzieją i radością, kiedy przypadkiem, obchodząc mury Courcelles, usłyszał ciężki krok ogrodnika.

Myślał o tym, aby napisać do pani de Beauséant, ale co powiedzieć kobiecie, której nie widział na oczy i która go nie znała? Zresztą Gaston nie dość wierzył w siebie, przy tym, jak często młodzi ludzie jeszcze pełni złudzeń, śmiertelnie lękał się straszliwej wzgardy milczenia i drżał na myśl, ile widoków ma ta jego pierwsza proza miłosna, iż będzie rzucona w ogień. W końcu po wielu dzikich projektach, składając coraz to nowe romanse i łamiąc sobie głowę, wymyślił szczęśliwy sposób, jeden z tych, które znajduje się w końcu wśród mnogości innych i które najniewinniejszej ko-

biecie zdradzają siłę namiętności, z jaką mężczyzna się nią zajmował. Często przesady towarzyskie stwarzają między kobietą a jej wielbicielem tyleż realnych zapór, ile wschodni poeci stworzyli ich w rozkosznych fikcjach swoich bajek, a najfantastyczniejsze ich obrazy rzadko są przesadą. Toteż w naturze, jak w świecie wróżek, kobieta musi zawsze należeć do tego, kto umie dotrzeć do niej i wyzwolić ją z położenia, w którym usycha. Najbiedniejszego żebraka zakochanego w córce kalifa z pewnością nie dzieliła od niej większa przepaść niż ta, która znajdowała się między Gastonem a panią de Beauséant. Wicehrabina żyła w absolutnej nieświadomości *aproszów*²⁰, jakie kopał dokoła niej pan de Nueil, którego miłość rosła od wszystkich przeszkód, strojących improwizowaną kochankę w powaby właściwe wszystkiemu, co dalekie.

Pewnego dnia, ufając swemu natchnieniu, położył nadzieję w miłości, która miała trysnąć

²⁰*aprosza* — rów obłężniczy, który umożliwia dotarcie pod zdobywaną pozycję.
[przypis edytorski]

z jego oczu. Wierząc, iż słowo wymowniejsze jest od najnamiętniejszego listu, licząc też na wrodzoną ciekawość kobiecą, poszedł do pana de Champignelles, zamierzając go wyzyskać dla swego zamiaru. Powiedział szlachcicowi, że ma ważne i delikatne zlecenie do pani de Beau-séant, ale nie wiedząc, czy ona czyta listy pisane nieznanym pismem lub czy użyczyłaby zaufania obcemu człowiekowi, prosi go, aby za pierwszą bytnością spytał wicehrabiny, czy raczy przyjąć Gastona. Prosząc margrabiego o tajemnicę w razie odmowy, podsunął mu bardzo sprytnie, aby nie taił przed panią de Beau-séant argumentów, które mogłoby przemawiać za przyjęciem. Czyż on, Gaston, nie jest człowiekiem honoru, lojalnym, niezdolnym dopuścić się niewłaściwości lub nawet nietaktu! Nadęty szlachcic, którego próżnostki Gaston umiał pogłaskać, padł całkowicie ofiarą tej dyplomacji miłosnej, dającej młodemu człowiekowi tupet i obłudę starego ambasadora. Próbował wprawdzie przejrzeć tajemnicę Gastona, ale ten mocno zakłopotany jego ciekawością, przeciwsta-

wił normandzką chytrą z ręcznym pytaniem pana de Champignelles, który, jako francuski rycerz, pochwalił jego dyskrecję.

Margrabia popędził z miejsca do Courcelles z owym pośpiechem, z jakim ludzie w pewnym wieku kwapią się oddać przysługę młodym kobietom. W położeniu, w jakim się znajdowała pani de Beauséant, zlecenie tego rodzaju musiało ją zaintrygować. Toteż, mimo że szukając w swoich wspomnieniach, nie widziała żadnej racji, która by mogła sprowadzać do niej pana de Nueil, nie widziała też żadnej przeszkody, aby go przyjąć, wywiedziawszy się wprzód przezornie o jego pozycję w świecie. Bądź co bądź, zaczęła od tego, że odmówiła, następnie przedyskutowała ten światowy problem z panem de Champignelles sondując, czy on zna pobudki tej wizyty; w końcu cofnęła swoją odmowę. Dyskusja oraz musowa dyskrecja margrabiego podrażniły jej ciekawość.

Pan de Champignelles, nie chcąc się wydać śmieszny, twierdził, jak człowiek świadomy, ale dyskretny, że wicehrabina musi dosko-

nale znać powód tej wizyty, mimo iż zupełnie szczerze szukała go nadaremno. Pani de Beauséant kombinowała związki między Gastonem a ludźmi, których on wcale nie znał, gubiła się w niedorzecznych domysłach i pytała sama siebie, czy widziała kiedy pana de Nueil. Najszerszy albo najzręczniejszy list miłosny nie byłby wywarł takiego wrażenia co ta zagadka bez słów, która zaprzętnęła panią de Beauséant na kilka zawodów.

Skoro Gaston dowiedział się, że może odwiedzić wicehrabinę, był równocześnie uszczęśliwiony, że tak rychło uzyskał gorąco upragnione szczęście i bardzo zakłopotany, jak wybrnąć ze swego podstępu.

— Ba! — powiadał sobie, ubierając się — ujrzeć ją, to wszystko.

Mijając bramę Courcelles miał nadzieję, że znajdzie jakiś sposób rozwiązania gordyjskiego węzła, który sam zadzierzgnął.

Gaston był z liczby tych, którzy, wierząc we wszechpotęgę konieczności, idą zawsze naprzód, w ostatniej chwili, znalazłszy się w obli-

czu niebezpieczeństwa, szukają w nim natchnienia i znajdują siły, aby je zwyciężyć. Przystąpił z osobliwym staraniem do toalety²¹. Wyobrażał sobie, jak większość młodych ludzi, że od jednego lepiej lub gorzej ułożonego pukła zależy jego tryumf, nie wiedząc, że u młodego wszystko jest urokiem i powabem. Zresztą kobiety wybrane, do których należała pani de Beauséant, wrażliwe są jedynie na powab umysłu i charakteru. Wielki charakter schlebia ich próżności, przyrzeka im wielkie uczucie i uświęca niejako wymagania ich serca. Dowcip²² bawi je, odpowiada subtelnościom ich natury: mają uczucie, że ktoś je rozumie. A czegoż chcą kobiety, jeśli nie tego, aby je bawić, rozumieć i ubóstwiać? Ale trzeba dobrze zastanowić się nad życiem, aby zrozumieć wyższą kokieterię, jaka mieści się w niedbałości o strój i w oszczędnym szafowaniu dowcipem za pierwszym widzeniem. Kiedy stajemy się szczerwymi dyplomatami, jesteśmy za starzy, aby ko-

²¹*toaleta* — tu: ubieranie się, dopracowywanie swojego wyglądu. [przypis edytorski]

²²*dowcip* (daw.) — inteligencja, błyskotliwość. [przypis edytorski]

rzystać z naszego doświadczenia. Podczas gdy Gaston, nie dość ufając w dary swego umysłu, szukał powabów w stroju, pani de Beau-séant również instyktownie zajęła się swą toaletą i mówiła sobie poprawiając włosy: „Bądź co bądź, nie chcę wyglądać na straszdyło”.

Dowcip, osoba i wzięcie pana de Nueil miały ową naiwną oryginalność, która daje szczególny smak lada gestowi i myśli, pozwala wszystko powiedzieć i wszystko każe przebaczyć. Był wykształcony, bystry, fizjognomię miał sympatyczną i ruchliwą jak jego wrażliwa dusza. W żywych oczach przebijało uczucie, tkliwość, a serce jego, z gruntu dobre, nie zadawało im kłamu. Postanowienie, jakie powziął wchodząc do Courcelles, było tedy w zgodzie z jego otwartym charakterem i gorącą wyobraźnią. Mimo odwagi, jaką daje miłość, nie mógł wszakże pohamować gwałownego bicia serca, kiedy przebywszy duży dziedziniec w kształcie angielskiego ogrodu, przybył do sali, gdzie pokojowiec spytawszy go o nazwisko, znikł i wrócił, aby go wprowadzić.

— Pan baron de Nueil.

Gaston wszedł wolno, ale dość zręcznie, rzecz trudniejsza jeszcze w salonie, gdzie jest jedna kobieta, niż gdzie ich jest dwadzieścia. Przy kominku, na którym, mimo pory roku, błyszczał wielki płomień i na którym znajdowały się dwa zapalone świeczniki, rzucając łagodne blaski, spostrzegł młodą kobietę, siedzącą w modnej berzerce²³ z bardzo wysokim grzbietem. Niskie siedzenie pozwalało głowie przybierać rozmaite pozy pełne wdzięku i elegancji, nachylać ją, skłaniać, prostować leniwo, jak gdyby to było ciężkie brzemie, wreszcie zginać nogi, pokazywać je lub chować w długich fałdach czarnej sukni. Wicehrabina chciała położyć na okrągłym stoliczku książkę, którą czytała, że jednak równocześnie zwróciła głowę ku panu de Nueil, książka spadła pomiędzy stolik a berzerkę. Nie zwracając na to uwagi, wicehrabina wyprostowała się i pochyliła głowę, odpowiadając na ukłon młodzieńca, lekko, prawie nie podnosząc się z berzerki, w której tonę-

²³*berzerka* — rodzaj fotela. [przypis edytorski]

ła jej kibić. Podała się naprzód, poprawiła żywo ogień, po czym schyliła się, podniosła rękawiczkę, którą wzięła niedbale w lewą rękę, szukając drugiej przelotnym spojrzeniem; prawą ręką, białą, niemal przezroczystą, bez pierścionków, wiotką, o cienkich palcach i różowych doskonale owalnych paznokciach, wskazała Gastonowi krzesło. Skoro nieznamy gość usiadł, zwróciła ku niemu głowę pytającym i zalotnym ruchem, którego subtelności niepodobna wyrazić; była życzliwość w tym ruchu pełnym wdzięku, mimo że opanowanym, świadczącym o starannym wychowaniu oraz codziennym nawyku do rzeczy w dobrym smaku.

Te skomplikowane ruchy nastąpiły po sobie w jednej chwili, płynne i miękkie, i zachwyciły Gastona owym połączeniem sztuki i swobody, jakim ładna kobieta stroi arystokratyczne wzięcie wielkiego świata. Pani de Beauséant tworzyła zbyt wymowny kontrast do marionetek, z którymi żył od dwóch miesięcy swego wygnania, aby nie stała się dlań ucieleśnieniem marzeń; toteż urok jej pobił w jednej chwi-

li wszystkie kobiety, które podziwiał niegdyś. Wobec tej damy, w tym salonie urządzonej w guście salonów Saint-Germain, pełnym rozrzuconych po stołach bogatych drobiazgów, książek, kwiatów, Gaston odznalazł się w Paryżu. Stąpał po prawdziwym paryskim dywanie, oglądał wytworny typ i delikatne kształty Paryżanki, jej subtelny wdzięk i jej obojętność na szukane efekty, które tak szkodzą kobietom z prowincji.

Wicehrabina de Beauséant była to blondynka z białą cerą i czarnymi oczami. Nosiła szlachetnie czoło, czoło upadłego anioła, który pyszni się swym upadkiem i nie chce przebaczenia. Włosy jej, obfite i upięte wysoko nad dwoma pasmami, które obejmowały to czoło szerokim kręgiem, przydawały jeszcze majestatu tej głowie. W falistych liniach tych złocistych włosów wyobraźnia widziała książęcą koronę burgundzką, a w błyszczących oczach tej wielkiej damy — cały majestat jej domu, dumę kobiety silnej tylko na to, aby odepchnąć wzgardę lub zuchwalstwo, ale pełnej tkliwości

dla lubych uczuć. Owal tej małej głowy cudownie osadzonej na długiej białej szyi, rysy delikatnej twarzy, cienkie wargi i ruchliwa fizjonomia zachowały wyraz uroczej ostrożności, odcień przybranej ironii, która miała coś z przebiegłości i impertynencji. Trudno było jej nie przebaczyć tych dwóch kobiecych grzechów, myśląc o jej nieszczęściach, o namiętności, która omal nie kosztowała jej życia i o której świadczyły bądź zmarszczki za najmniejszym poruszeniem fałdujące jej czoło, bądź bolesna wymowa oczu wzniesionych do nieba. Czyż to nie było imponujące i działające na wyobraźnię zjawisko, widzieć w olbrzymim milczącym salonie tę kobietę odciętą od całego świata, która od trzech lat żyła w tym zakątku, z dala od miasta, sama ze wspomnieniami młodości świetnej, szczęśliwej, namiętnej, niegdyś wypełnionej zabawami, hołdami, obecnie zaś wydanej na łup strasznej pustki? Uśmiech tej kobiety zdradzał wysokie poczucie swej wartości. Nie będąc ani matką, ani żoną, odtrącona przez świat, pozbawiona jedyne go serca, przy

którym serce jej mogłoby bić bez wstydu, nie czerpiąc w żadnym uczuciu pomocy potrzebnej jej zwątpiałej duszy, musiała znajdować siłę w sobie samej, żyć własnym życiem i wyrzec się wszelkiej nadziei, prócz tej, jaka została porzuconej kobiecie: czekać śmierci, przyśpieszać jej krok mimo pięknych dni, jakie jej jeszcze zostały. Czuć się stworzoną dla szczęścia i ginąć nie doznając go, nie dając go?... Kobieta! Co za męczarnie! Pan de Nueil uczynił te spostrzeżenia z szybkością błyskawicy i czuł się bardzo zawstydzony sobą w obliczu największej poezji, w jaką może się oblec kobieta. Urzeczony potrójnym blaskiem piękności, nieszczęścia i szlachetności, stał niemal osłupiały, zadumany, podziwiając wicehrabinę, ale nie znajdując nic do powiedzenia.

Pani de Beauséant, której zdumienie to nie było zapewne niemiłe, wyciągnęła doń rękę ruchem miękkim, ale rozkazującym, po czym, przyzywając uśmiech na pobladłe wargi, jak gdyby chcąc być jeszcze posłuszną swej płci, rzekła:

— Pan de Champignelles uprzedził mnie o poselstwie, którego pan tak uprzejmie się podjął. Byłoby to od...

Słyszając te straszliwe słowa, Gaston zrozumiał jeszcze lepiej śmieszność swej sytuacji, nie-takt, nieuczciwość swego postąpienia wobec kobiety tak nieszczęśliwej. Zacerwienił się. Wzrok jego nabrzmiały tysiącem myśli, zmącił się, ale nagle, z ową siłą, jaką młode serca umieją czerpać w poczuciu swych błędów, uspokoił się. Przerywając pani de Beauséant gestem pełnym pokory, odpowiedział wzruszonym głosem:

— Pani, nie zasługuję na szczęście widzenia pani: oszukałem panią niegodnie. Uczucie, jakiemu byłem posłuszny, mimo iż bardzo żywe, nie może usprawiedliwić nędznego podstępku, który mi dał dotrzeć do pani. Ale jeżeli pani pozwoli mi powiedzieć sobie...

Wicehrabina obrzuciła pana de Nueil spojrzeniem pełnym dumy i wzdargy; podniosła rękę, aby pociągnąć za dzwonek, zadzwoniła; zjawił się służący; wówczas, patrząc z godnością na młodego człowieka, rzekła:

— Jakubie, poświęć panu.

Podniosła się dumnie, skinęła Gastonowi głową i schyliła się, aby podnieść upuszczoną książkę. Ruchy jej były równie suche, równie zimne jak te, którymi go przyjęła, były miękkie, wytworne i wdzięczne. Pan de Nueil podniósł się, ale stał w miejscu. Pani de Beauséant spojrzała nań jeszcze raz jakby dla powiedzenia: „Co! Jeszcze pan tutaj?”

Spojrzenie to smagało tak dotkliwym szyderstwem, że Gaston zbladł jak człowiek bliiski omdlenia. Łzy zakręciły mu się w oczach, ale powstrzymał je, osuszył je w ogniu swego wstydu i rozpaczy, popatrzał na panią de Beaséant z przebłyskiem dumy, który wyrażał wraz i rezygnację, i pewną świadomość swej wartości; wicehrabina miała prawo go ukarać, ale czy była powinna? Po czym wyszedł. Kiedy mijał przedpokój, przenikliwość jego i wyostrzona namiętnością inteligencja pozwoliły mu ogarnąć całą grozę położenia.

— Jeżeli opuszczę ten dom, nie będę mógł nigdy tu wrócić, na zawsze pozostanę dla niej

durniem. Niepodobna jest kobiecie — a to jest kobieta! — nie odgadnąć miłości, jaką budzi; czuje może mglisty i mimowolny żal, że mnie tak szorstko odprawiła, ale nie wolno jej, nie może odwołać swego wyroku: do mnie należy ją zrozumieć.

Z tą myślą Gaston zatrzymał się na ganku, wydał cichy okrzyk, obrócił się żywo i rzekł:

— Zapomniałem czegoś!

I wrócił do salonu wiodąc za sobą służącego, który, pełen uszanowania dla barona i dla świętych praw własności, dał się zupełnie zwieść naturalności tonu, jakim zdanie to było wyrzeczone. Gaston wszedł pocichu nieoznajmiony. Kiedy wicehrabina, myśląc może, że intruzem jest służący, podniosła głowę, ujrzała przed sobą pana de Nueil.

— Jakub mnie oświecił — rzekł z uśmiechem.

Uśmiech jego nacechowany na wpół smutnym wdziękiem, odejmował tym słowom wszystko, co w nich było żartem; akcent, którym były wyrzeczone, musiał wniknąć do duszy.

Pani de Beauséant była rozbrojona.

— Zatem niech pan siada — rzekła.

Gaston chciwie pochwycił krzesło. Oczy jego rozszerzone szczęściem, tryskały blaskiem tak żywym, że wicehrabina nie mogła wytrzymać tego spojrzenia, spuściła oczy na książkę i syciła się tą wciąż nową rozkoszą, iż jest dla mężczyzny źródłem jego szczęścia: uczucie niezniszczalne u kobiety. Gaston odgadł panią de Beauséant. Kobieta jest tak wdzięczna, gdy spotka człowieka zestrojonego z tak logicznymi kapryсами jej serca, człowieka, który pojmuje sprzeczne na pozór odruchy jej myśli, ulotne zawstydzenia jej wrażeń, to trwożnych, to zuchwałych, zdumiewającą mieszaninę kokieterii i naiwności!

— Pani — wykrzyknął z cicha Gaston — zna pani mój błąd, ale nie zna pani moich zbrodni. Gdyby pani wiedziała, z jakim szczęściem...

— Niech pan uważa — rzekła podnosząc tajemniczym gestem paluszek do nosa, który musnęła lekko; po czym drugą ręką uczyniła gest jakby do dzwonka.

Ten ładny ruch, ta pełna wdzięku groźba, obudziły zapewne smutną myśl, wspomnienie szczęśliwych chwil życia, czas gdy wszystko mogło być tylko urokiem i tylko rozkoszą, gdy szczęście usprawiedliwiało kaprysy jej myśli tak, jak dawało powab najdrobniejszemu jej ruchowi. Zmarszczyła czoło, twarz jej, tak słodka w blasku świec, przybrała posępny wyraz; popatrzała na pana de Nueil z powagą wolną od chłodu i rzekła jak kobieta głęboko przejęta znaczeniem swoich słów:

— Wszystko to jest bardzo niedorzeczne! Był czas, gdy miałam prawo być wesoła do szaleństwa; gdy mogłam śmiać się z panem i przyjąć pana bez obawy; ale dziś życie moje zmieniło się bardzo, nie jestem już panią swoich uczynków, muszę się nad nimi zastanawiać. Jakiemu uczuciu zawdzięczam pańskie odwiedzi-ny? Czy to ciekawość? W takim razie płacę bardzo drogo kruchą chwilę szczęścia. Czyżby pan już *namiętnie* kochał kobietę niechybnie spon-twarzoną, której pan nigdy nie widział na oczy? Pańskie uczucia byłyby wówczas oparte na bra-

ku szacunku, na błędzie, któremu przypadek dał sławę.

Rzuciła książkę na stół ze wzgardą.

— Jak to! — rzekła objawszy Gastona straszliwym spojrzeniem. — Więc dlatego, że byłam słaba, świat chce, abym nią była ciągle? To okropne, upokarzające. Czy pan przychodzi, aby się nade mną litować? Jest pan zbyt młody, aby współczuć z cierpieniami serca. Niech pan to wie, mój panie, wolę wzgardę od litości, nie chcę być przedmiotem niczyjego współczucia.

Nastała chwila milczenia.

— A więc widzi pan — podjęła zwracając głowę ku niemu z wyrazem łagodności i smutku — jakiegokolwiek uczucie kazało panu wdziierać się nieopatrznie w moje ustronie, obraża mnie pan. Jest pan zbyt młody, aby być zupełnie wyzuty z dobroci, odczuje pan tedy niewłaściwość swego kroku, przebaczam go panu i mówię do pana teraz bez goryczy. Nie wróci pan już tutaj, nieprawdaż? Proszę pana o to, choć mogłabym rozkazać. Gdyby pan odwie-

dził mnie jeszcze raz, nie byłoby ani w pańskiej, ani w mojej mocy przeszkodzić, aby całe miasto uważało pana za mego kochanka i dorzuciłby pan do moich zgryzot nową ciężką zgryzotę. Nie pragnie pan tego, sędzę.

Zamilkła patrząc nań z prawdziwą godnością, która go zmieszała.

— Zbłądziłem, pani — rzekł wzruszonym głosem — ale zapał, nieopatrność, żywa potrzeba szczęścia są w moim wieku wadą i zalecą. Teraz — dodał — rozumiem, że nie powinienem był starać się pani widzieć, a mimo to pragnienie moje było bardzo naturalne...

Starał się opowiedzieć raczej gorąco niż dowcipnie męki, na jakie skazało go jego musowe wygnanie. Odmalował stan młodego człowieka, którego ogień płonie bez pokarmu; dał do pojęcia, że godzien byłby tkliwego uczucia, a mimo to nigdy nie zaznał rozkoszy miłości, której przedmiotem byłaby kobieta młoda, piękna, pełna smaku, subtelna. Wytłumańczył swoje zuchwalstwo, nie siląc się go usprawiedliwić. Pochlebił pani de Beauséant, dowo-

dząc jej, że wciela dla niego typ kochanki ustawicznie, ale na próżno marzony przez większość młodych ludzi. Następnie, mówiąc o swoich rannych przechadzkach dokoła Courcelles, o szalonych myślach, jakie go ogarniały na widok pałacyku, do którego wreszcie się dostał, obudził owo nieokreślone pobłażanie, jakie kobieta znajduje w swym sercu dla szaleństw, których jest źródłem.

Napełnił namiętym głosem tę zimną samotnię, gdzie wnosił gorący poryw młodości i wdzięk myśli zdradzający staranne wychowanie. Pani de Beauséant od zbyt dawna była pozbawiona wzruszeń, jakie dają szczerze a subtelnie wyrażone uczucia, aby nie odczuć żywej przyjemności. Mimo woli patrzyła na wyrazistą twarz pana de Nueil i podziwiała w nim ową piękną ufność duszy, której nie rozdarły jeszcze ani okrutne nauki świata, ani nie zżarły nieustanne rachuby ambicji lub próżności. Gaston była to młodość w swoim kwiecie; objawił się jej jak człowiek niepospolity, który jeszcze nie zna swoich wysokich przeznaczeń.

Tak więc oboje czynili wzajem o sobie refleksje bardzo niebezpieczne dla ich spokoju i starali się je sobie ukryć. Pan de Nueil poznawał w wicehrabinie jedną z owych rzadkich kobiet wciąż padających ofiarą własnej doskonałości i swojej niewyczerpanej tkliwości; kobiet, których urocza piękność jest najmniejszym czarem, skoro raz dozwoliły przystępu do swej duszy, gdzie uczucia są nieskończone, gdzie wszystko jest dobrocią, gdzie instynkt piękna kojarzy się z wciąż nowymi natchnieniami miłości, aby oczyścić rozkosz i uczynić ją niemal świętą: cudowna tajemnica kobiety, wspaniały dar tak rzadko używany przez naturę! Wicehrabina znowuż słysząc szczery akcent, z jakim Gaston mówił jej o goryczach swej młodości, odgadywała cierpienia, jakie nieśmiałość narzuca wielkim dwudziestopięcioletnim dzieciom, kiedy praca uchroniła je od zepsucia i od zetknięcia ze światem, którego przemądrzałe doświadczenie niweczy młodzieńcze przymioty. Dostrzegała w nim marzenie wszystkich kobiet, człowieka, w którym nie istnieje jeszcze

ani egoizm rodzinny i majątkowy, ani ów egoizm zabijający w końcu w pierwszym pączku poświęcenie, honor, oddanie, szacunek dla samego siebie. Tak rychło więdną te kwiaty duszy, które zrazu wzbogacają duszę subtelnościami, mimo że silnymi, wzruszeniami i krzepią w mężczyźnie uczciwość serca!

Raz zapuściwszy się w bezkresy uczucia, zaszli bardzo daleko w teorii, wysondowali oboje głębokość swoich dusz, zbadali szczerłość swych wrażeń. Egzamin ten, mimowolny u Gastona, był pani de Beauséant rozmyślny. Posługując się wrodzonym lub nabytym sprytem, wygłaszała, nie szkodząc samej sobie, sądy przeciwne własnym, aby poznać myśli pana de Nueil. Była tak dowcipna, tak urocza, była tak bardzo sobą z młodym człowiekiem, który nie mroził jej ufności, gdyż nie sądziła, aby go jeszcze ujrzała w życiu, że po jakimś jej rozkosznym odezwaniu, Gaston wykrzyknął naiwnie:

— Och, pani, w jaki sposób ktoś mógł panią porzucić?

Wicehrabina zamilkła. Gaston zaczerwienił się, myślał, że ją obraził. Ale ona była po prostu zaskoczona pierwszą głęboką i szczerą przyjemnością, jakiej doznała od dnia swego nieszczęścia. Najzręczniejszy uwodziciel nie uczyniłby swoją sztuką postępu, jaki pan de Nueil zawdzięczał temu krzykowi serca. Ten naiwny krzyk młodego chłopca uniewinniał ją we własnych oczach, potępiał świat, oskarżał tego, który ją porzucił i usprawiedliwiał samotność, na jaką się skazała. Rozgrzeszenie świata, wzruszająca sympatia, szacunek, tak upragnione, tak okrutnie odmawiane, słowem najtajniejsze jej pragnienia ziściły się w tym okrzyku, strojnym w najśłodsze pochlebstwa serca oraz w podziw zawsze chciwie smakowany przez kobiety. Był tedy ktoś, kto ją pojął i zrozumiał, pan de Nueil dawał jej niewinną sposobność uczynienia sobie piedestału ze swego upadku. Spojrzała na zegar.

— Och, pani — wykrzyknął Gaston. — Niech mnie pani nie karze za mą nieopatrz-

ność. Jeżeli mam mieć tylko jeden wieczór, niech pani raczy nie skracać go jeszcze.

Uśmiechnęła się z komplementu.

— Ale — rzekła — skoro już się nie mamy zobaczyć, cóż znaczy jedna chwila więcej albo mniej? Gdyby się pan zakochał we mnie, to byłoby nieszczęście.

— Już się stało — rzekł smutno.

— Niech mi pan tego nie mówi — rzekła poważnie. — W każdym innym położeniu przyjmowałabym pana z przyjemnością. Będę z panem mówiła szczerze, zrozumie pan, czemu ja nie chcę, czemu nie mogę pana widywać. Sądzę, że pan jest zbyt szlachetny, aby nie czuć, że gdyby mnie bodaj podejrzewano o drugi błąd, stałabym się dla całego świata kobietą godną wzgardy, pospolitą, stałabym się podobną do innych. Życie czyste i bez skazy objawi mój prawdziwy charakter. Jestem zbyt dumna, aby nie próbować żyć wśród świata jak istota wyjątkowa, ofiara praw w moim małżeństwie, ofiara mężczyzn w mojej miłości. Gdybym nie została wierną samej sobie, zasłużyła-

bym na potępienie, które mnie przygniała i straciłabym własny szacunek. Nie wzniosłam się do tej wysokiej cnoty, aby należeć do człowieka, którego nie kochałam. Skruszyłam, wbrew prawom, więzy małżeństwa; to był błąd, to była zbrodnia, wszystko co pan chce, ale dla mnie te więzy równały się śmierci. Chciałam żyć. Gdybym była matką, byłabym może znalazła siły, aby znieść męki małżeństwa narzuconego przez konwenans. W osiemnastym roku, my, biedne dziewczęta, nie wiemy prawie, co z nami robią. Zgwałciłam prawa świata, świat mnie ukarał; postąpiliśmy oboje sprawiedliwie. Byłam młoda, byłam piękna... Zdawało mi się, że spotkałam człowieka równie kochającego, jak zdawał się namiętny. Byłam bardzo kochana przez chwilę!...

Urwała.

— Myślałam — podjęła — że mężczyzna nie powinien nigdy porzucić kobiety w moim położeniu. Porzucono mnie, sprzykrzyłam się widocznie. Tak, naruszyłam z pewnością jakieś prawo przyrody, byłam zbyt kochająca, zbyt od-

dana albo zbyt wymagająca, nie wiem. Nie-
szczęście mnie oświeciło. Długi czas oskarża-
łam, potem zgodziłam się być jedyną wino-
wajczynią. Rozgrzeszyłam tedy swoim kosztem
tego, do którego czułam żal. Nie byłam dość
zręczna, aby go utrzymać: los ukarał mnie cięż-
ko za mą niezręczność. Umieję tylko kochać:
jak myśleć o sobie, kiedy się kocha? Byłam nie-
wolnicą, kiedy powinnam była stać się tyra-
nem. Ci, którzy mnie znają, mogą mnie potę-
pić, ale będą mnie szanować. Moje cierpienia
nauczyły mnie, aby się już nie narażać na po-
rzucenie. Nie rozumiem, jakim cudem istnieje
jeszcze, zniósłszy męki pierwszego tygodnia,
jaki nastąpił po tym ciosie najokropniejszym
w życiu kobiety. Trzeba było żyć trzy lata sa-
mej, aby mieć siłę mówienia tak, jak ja mówię
w tej chwili o moim bólu. Agonia kończy się
zazwyczaj śmiercią; to była agonia bez zakoń-
czenia w grobie. Och! Wiele wycierpiałam!

Wicehrabina podniosła oczy w sufit, któ-
remu zwierzyła wszystko to, czego nie powi-
nien był usłyszeć nieznajomy. Sufit jest to naj-

łagodniejszy, najpowolniejszy, najbardziej oddany powiernik, jaki kobieta może znaleźć wówczas, gdy nie śmie patrzeć na swego partnera. Sufit buduaru to instytucja. Czyż to nie jest konfesjonał, choć bez księdza? W tej chwili pani de Beauséant była wymowna i piękna, trzeba by powiedzieć zalotna, gdyby to nie było zbyt silne słowo. Oddając sobie sprawiedliwość, kładąc między sobą a miłością najwyższe zapory, bodła ostrogą wszystkie uczucia mężczyzny: im wyżej stawiała cel, tym lepiej ukazywała go spojrzeniu. Wreszcie opuściła oczy na Gastona, zgasiwszy w nich zbyt wymowny wyraz, jaki im dały wspomnienia cierpień.

— Niech pan przyzna, że powinnam zostać zimna i samotna? — rzekła spokojnie.

Pan de Nueil czuł gwałtowną chęć, aby upaść do nóg tej kobiety wzniosłej wraz rozsądkiem i szaleństwem; lękał się wydać jej śmiesznym; powściągnął tedy swoje podniecenie i swoje myśli; bał się zarazem i tego, że nie potrafi ich dobrze wyrazić, i bał się jakiejś miazdzącej odmowy albo drwin, których lęk mrozi najpłomien-

niejsze dusze. Gwałt zadany uczuciom w chwili, gdy wydzierały się z jego serca, sprawił mu ów głęboki ból, który znają ludzie nieśmiali i ambitni, często zmuszeni dławić swoje pragnienia. Mimo to przerwał milczenie i rzekł drżącym głosem:

— Niech mi pani pozwoli poddać się jednemu z największych wzruszeń mego życia i wyznać uczucia, jakie pani we mnie budzi. Pod pani wpływem serce moje rośnie! Chciałbym poświęcić pani życie, dać pani zapomnieć o wszystkich zgryzotach lub kochać panią za wszystkich tych, którzy cię nienawidzili lub zranili. Ale to jest poryw serca, którego nic dzisiaj nie usprawiedliwia i który powinien bym...

— Dość — rzekła pani de Beauséant. — Zaszliśmy oboje za daleko. Chciałam, tłumacząc panu jej smutne przyczyny, złagodzić, o ile w mej mocy, odprawę, do której jestem zmuszona, a nie ściągać komplementy. Zalotność do twarzy jest jedynie kobiecie szczęśliwej. Wierzaj mi pan, pozostanemy sobie obcy. Później, kiedyś, dowie się pan, że nie trzeba zadzierzgać

więzów, które z konieczności muszą się kiedyś zerwać.

Westchnęła lekko, czoło jej zmarszczyło się, ale natychmiast odzyskało czystość swego zarysu.

— Cóż to za męczarnia dla kobiety — podjęła — nie móc towarzyszyć ukochanemu mężczyźnie we wszystkich fazach jego życia! A ta jej głęboka zgryzota, czyż nie musi odbijać się straszliwie w sercu tego mężczyzny, jeżeli ją bardzo kocha? Czyż to nie jest podwójne nieszczęście?

Nastała chwila milczenia, po której rzekła z uśmiechem wstając, aby zmusić do wstania swego gościa:

— Nie spodziewał się pan, idąc do Courcelles, usłyszeć kazania?

Gaston uczuł się w tej chwili dalej od tej niezwyklej kobiety niż w chwili przybycia. Przypisując urok tej rozkosznej godziny zalotności pani domu, radej popisać się dowcipem, skłonił się zimno wicehrabinie i wyszedł zrozpaczony. Po drodze baron starał się odgadnąć praw-

dziwy charakter tej istoty giętkiej i twardej jak sprężyna, ale widział w niej kolejno tyle od-
cieni, że niepodobna mu było wytworzyć so-
bie o niej prawdziwego sądu. Akcenty głosu
brzmiały mu jeszcze w uszach, a wspomnie-
nie użyczało tyle czaru jej gestom, minkom,
spojrzeniom, iż zawrócił sobie jeszcze bardziej
głowę od tych rozważań. Piękność wicehrabiny
błyszczała dlań jeszcze w ciemnościach, dozna-
ne wrażenia budziły się jedne od drugich, aby
go na nowo oczarować, odsłaniając mu uro-
ki ciała i duszy niedostrzeżone zrazu. Pogrą-
żył się w owej zadumie, w której najjaśniejsze
myśli zderzają się z sobą i wtrącają duszę
w krótki napad szaleństwa. Trzeba być mło-
dym, aby odkryć i zrozumieć tajemnice takich
wzlotów, w których serce nękanie przez myśli
najrozumniejsze i najbardziej szalone, podda-
je się ostatniej, która je uderzy, rozpaczy lub
nadziei, wedle woli nieznannej potęgi. W dwu-
dziestu trzech latach człowiekiem włada pra-
wie zawsze uczucie skromności, nieśmiałość,
wzruszenia iście dziewczęce, boi się źle wyra-

zić swą miłość, widzi jedynie trudności i lęka się ich, drży, że nie zdołał być miłym; byłby śmiały, gdyby tak nie kochał; im bardziej czuje cenę szczęścia, tym mniej wierzy, aby ukochana zechciała mu go łatwo użyczyć; może zanadto zresztą poi się własną rozkoszą, lęka się, że nie zdoła jej udzielić... Kiedy nieszczęściem bóstwo jego jest imponujące, ubóstwia je w tajemnicy i z dala; jeżeli ona nie umie odgadnąć jego miłości, miłość umiera. Często ta gorączkowa miłość zmarła w młodym sercu pozostaje w nim lśniąca złudzeniami. Któryż mężczyzna nie ma owych dziewiczych wspomnień, które później budzą się, wciąż bardziej urocze, i przynoszą obraz doskonałego szczęścia? — wspomnienia podobne do dzieci, które zmarły w kwiecie wieku, dając poznać rodzicom jedynie uśmiechy. Pan de Nueil wrócił tedy z Courcelles, miotany uczuciem brzemieniem w gwałtowne decyzje. Pani de Beauséant już się dlań stała warunkiem istnienia: raczej umrzeć, niż żyć bez niej! Jeszcze dość młody, aby odczuwać ów bolesny urok, jaki idealna

kobieta rzuca na świeże i namiętne dusze, przeżył burzliwą noc, jedną z tych, w których młodzi ludzie przebiegają drogę od szczęścia do samobójstwa, od samobójstwa do szczęścia, chłoną całe życie upojeń i zasypiają wyczerpani. Nieszczęsne noce, w których największym nieszczęściem, jakie się może trafić, jest to, że się człowiek budzi filozofem. Zbyt szczerze zakochany, aby zasnąć, pan de Nueil wstał i zaczął pisać listy, z których żaden go nie zadowolił; spalił wszystkie.

Nazajutrz krążył dokoła parku w Courcelles, ale o zmroku; bał się, aby go wicehrabina nie spostrzegła. Uczucie, jakiego doznawał w tej chwili, wiąże się z tak tajemniczymi strunami duszy, że trzeba być jeszcze młodym albo też znajdować się w podobnym położeniu, aby pojąć wszystkie jego nieme rozkosze i kaprysy: rzeczy, które przyprawiłyby o wzruszenie ramion ludzi na tyle szczęśliwych, iż zawsze widzą *pozytywną* stronę życia. Po okrutnych wahaniach, Gaston napisał do pani de Beauséant następujący list, który może uchodzić za wzór

frazeologii miłosnej i da się porównać do rysunków, jakie potajemnie dzieci robią na imieniny rodziców; podarek okropny dla innych, z wyjątkiem tych, którzy go otrzymują.

„Pani!

Ma Pani tak wielką władzę nad moim sercem, nad moją duszą i moją osobą, że los mój zależy dziś całkowicie od Pani. Niech Pani nie rzuci mego listu w ogień. Niech się Pani zdobędzie na tyle życzliwości, aby go przeczytać. Może przebaczysz mi pierwsze zdanie, czując, że to nie są pospolite ani interesowne oświadczenia, ale wyraz naturalnego faktu. Może wzruszy Cię skromność moich próśb, rezygnacja płynąca z poczucia własnej niższości, waga decyzji Twojej dla mego życia. W moim wieku, Pani, umiem tylko kochać, nie wiem, zgoła, ani co może się podobać kobiecie, ani co na nią działa; ale mam dla niej w sercu bezgraniczne ubóstwienie. Ciągnie mnie nieodparcie do Pani bezmierna rozkosz,

jaka Pani we mnie budzi; myślę o Pani z całym egoizmem, jaki nas ciągnie tam, gdzie czujemy płomień życia. Nie czuję się godnym Pani. Nie, wydaje mi się niemożliwe, abym ja, młody, nieświadomy, nieśmiały, mógł Pani dać bodaj tysięczną cząstkę szczęścia, jakie chłonałem, słuchając Pani, patrząc na Panią. Jesteś dla mnie jedyną kobietą w świecie. Nie pojmując życia bez Pani, postanowiłem opuścić Francję i iść rzucać na kartę moją egzystencję póty, póki jej nie przegram w jakimś szalonym przedsięwzięciu w Indiach, w Afryce, sam nie wiem gdzie. Czyż miłości bez granic nie trzeba mi zwalczać czymś nieskończonym? Ale jeżeli raczysz mi zostawić nadzieję, nie abym do Ciebie mógł należeć, ale że pozyskam Twą przyjaźń — zostaję. Pozwól spędzić przy sobie, bodaj rzadko, jeżeli tak każesz, parę godzin podobnych tej, którą Pani skradłem. To wątpliwe szczęście, którego żywych rozkoszy może mi wzbronić najłżejsze zbyt gorące sło-

wo, wystarczy może, aby stłumić wrzenie mojej krwi. Czy przeceniłem Twą wspaniałomyślność, błagając, byś zezwoliła na stosunek, w którym zyskuję wszystko tylko ja? Potrafisz wszak pokazać temu światu, któremu poświęcasz tyle, że ja jestem dla Pani niczym. Pani jest tak inteligentna i taka dumna! Czego się Pani może obawiać? Chciałbym teraz otworzyć Ci moje serce, aby Cię przekonać, że moja pokorna prośba nie kryje żadnej ukrytej myśli. Nie mówiłbym Ci, że miłość moja jest bez granic w chwili, gdy proszę Cię, Pani, o użyczenie mi Twojej przyjaźni, gdybym miał nadzieję, że zdołam Ci udzielić głębokiego uczucia zagrzebanego w moim sercu. Nie, będę przy Tobie wszystkim, czym zechcesz, bylebym był przy Tobie. Jeżeli mnie odtrącisz, a możesz to uczynić, nie będę szemrał, wyjadę. Jeżeli później inna kobieta odegra jakąś rolę w moim życiu, wówczas miałaś słuszność, ale jeżeli umrę wierny mej miłości, pożałujesz

może trochę! Nadzieja Twego żalu złagodzi moje męczarnie i będzie jedyną zemstą niezrozumianego serca...”

Trzeba nie być obcym żadnemu z lubych nieszczęść młodości, trzeba było uganiać na wszystkich białoskrzydłych Chimerach²⁴, jakie drażnią swym niewieścim zadem płomienne wyobraźnie, aby zrozumieć mękę, jakiej pastwą stał się Gaston de Nueil, odkąd złożył swoje pierwsze *ultimatum* w ręce pani de Beau-séant. Widział wicehrabinę zimną, ironiczną, zartującą z miłości jak ludzie, którzy w nią już nie wierzą. Byłby chciał cofnąć swój list, wydawał mu się niedorzeczny, przychodziło mu do głowy tysiąc myśli nieskończenie lepszych, bardziej wzruszających niż jego chłodne frazesy, te przekłete frazesy wymędrkowane, sofistyczne, pretensjonalne, ale na szczęście dość lichy przecinkowane i pięknie wypisane koślawym pismem. Próbował nie myśleć, nie czuć, ale myślał, czuł i cierpiał. Gdyby miał trzydzie-

²⁴*chimera* — potwór z mitologii greckiej o głowie lwa, ciele kozy i ogonie węża; tu przen.: coś nierealnego, co istnieje tylko w marzeniach. [przypis edytorski]

ści lat, upiłby się, ale ten naiwny jeszcze młodzian nie znał ani miłosiernego opium, ani innych środków schyłkowej cywilizacji. Nie miał tam przy sobie nikogo z owych zacnych przyjaciół paryskich, którzy umieją tak pięknie mówić: „Petusie, to nie boli!”, podając ci butelkę szampana lub też ciągnąć cię na orgię, aby złagodzić męczarnie niepewności. Wyborni przyjaciele zawsze w nędzy, kiedy ty jesteś bogaty, zawsze u wód, kiedy ich szukasz, zawsze stracili ostatniego ludwika w grze, kiedy ich o niego prosisz, ale zawsze mający najlepszego konia, aby ci go sprzedać; poza tym najmilszy chłopcy w świecie i zawsze gotowi puścić się z tobą na jedną z owych śliskich ścieżek, na których trwoni się czas, duszę i życie!

W końcu pan de Nueil otrzymał z rąk Jakuba list zapieczętowany pachnącym lakiem z herbem Burgundii, pisany na welinie i wionący ładną kobietą.

Natychmiast pobiegł do siebie, aby się zamknąć i odczytać *swój* list:

„Karze mnie Pan bardzo surowo i za względność, z jaką starałam się Panu złagodzić przykrość odmowy, i za urok, jaki zawsze wywiera na mnie inteligencja. Zufałam młodzieńczej szlachetności, a Pan mnie zawiódł! A wszak ja mówiłam z Panem, jeżeli nie z wylaniem, co nie miałyby sensu, to w każdym razie szczerze; przedstawiłam Panu moje położenie, aby wytłumaczyć Pańskiej młodej duszy mój chłód. Im bardziej mnie Pan zainteresował, tym żywszą była przykrość, którą mi Pan sprawił. Jestem z natury tkliwa i dobra, ale życie czyni mnie złą. Inna kobieta spaliłaby Pański list bez czytania; ja przeczytałam i odpowiadam. Odpowiedź moja przekona Pana, że jeśli nie jestem nieczuła na uczucie, jakie zrodziłam, bodaj mimo woli, daleka jestem od dzielenia go, a dalsze postępowanie dowiedzie Panu jeszcze o wiele lepiej szczerości mej duszy. Chciałam przy tym, dla Pańskiego dobra, posłużyć się niejako tą władzą, którą mi Pan

daje nad swym życiem, a pragnę posłużyć się nią tylko raz, aby zedrzeć zasłonę, która Panu zakrywa oczy.

Mam blisko trzydzieści lat, drogi Panie, a Pan ma ich zaledwie dwadzieścia dwa. Sam Pan nie wie, czym będą Pańskie myśli, kiedy Pan dojdzie do mojego wieku. Przysięgi, które rzucasz tak łatwo dzisiaj, mogą się Panu wydać wówczas bardzo ciężkie. Dzisiaj chętnie wierzę, oddałby mi Pan bez żalu całe swoje życie, umiałby Pan umrzeć nawet dla przelotnej przyjemności, ale w trzydziestu latach doświadczenie odjęłoby Panu siłę do codziennych poświęceń, a dla mnie byłoby głębokiem upokorzeniem przyjmować je. Pewnego dnia wszystko, sama natura nawet, nakaze Panu porzucić mnie, a powiedziałam to Panu: wolę śmierć niż opuszczenie. Widzi Pan, nieszczęście nauczyło mnie rachować. Rozumuję, nie umiem czuć. Zmusza mnie Pan do powiedzenia, że Pana nie kocham, że nie powinnam,

nie mogę, nie chcę Pana kochać. Minęłam okres, gdy kobieta ustępuje ślepym odruchom serca; nie umiałabym już być ową kochanką, jakiej Pan szuka. Pocięch spodziewam się od Boga, nie od ludzi. Zresztą zbyt jasno czytam w sercach przy smutnym świetle zawiedzionej miłości, aby przyjąć przyjaźń, której Pan żąda, którą Pan ofiarowuje. Łudzi Pana własne serce, ufa Pan o wiele więcej mojej słabości niż własnej sile. Wszystko to, to jest głos instynktu. Przebaczam Panu ten dziecinny podstęp, Pan jeszcze nie jest zań odpowiedzialny. Nakazuję Panu w imię tej jednodniowej miłości, w imię Pańskiego życia, w imię mego spokoju, zostać w kraju, nie łamać chlubnego i pięknego życia dla złudzenia, które musi zgasnąć. Później, kiedy spełniając swój prawdziwy los, rozwinie Pan wszystkie uczucia, jakie czekają mężczyzną, oceni Pan moją odpowiedź, która w tej chwili razi Cię może oschłością. Odszukasz wówczas z przyjemnością starą ko-

bietę, której przyjaźń będzie Ci z pewnością miła i cenna: nie zużyją jej ani namiętności, ani rozczarowania; szlachetne i godziwe myśli uchowają ją czystą i świętą. Żegnam Pana, niech Pan mi będzie posłuszny z tym przeświadczeniem, iż Pańskie tryumfy wniosą niejaką słodycz w mą samotnię i niech Pan myśli o mnie jedynie tak, jak się myśli o nieobecnych”.

Przeczytawszy ten list, Gaston de Nueil skreślił następujące słowa:

„Pani, gdybym przestał Panią kochać, godząc się z Pani rozkazu stać się pospolitym człowiekiem, niech Pani przyzna, że byłbym godnym mego losu? Nie, nie usłucham Pani i przysięgam Pani wierność, którą rozwiąże jedynie śmierć. Och! Weź moje życie, chyba że się nie lękasz zagoryczyć swego życia wyrzutem”...

Kiedy służący pana de Nueil wrócił z Courcelles, młodzieniec spytał:

— Komu oddałeś list?

— Samej pani wicehrabinie, siedziała w powozie, wyjeżdżała...

— Do miasta?

— Nie zdaje mi się, proszę pana. Berlinka²⁵ pani wicehrabiny zaprzężona była w pocztowe konie.

— A! Wyjeżdża — powiedział baron.

— Tak, panie baronie — odparł służący.

Natychmiast Gaston poczynił przygotowania, aby jechać za panią de Beauséant. Zawiozła go aż do Genewy, nie wiedząc, że on za nią jedzie. Wśród tysiąca myśli oblegających go w czasie tej podróży, jedna pochłaniała go szczególnie, mianowicie: „Dlaczego ona odjechała?” Dokoła tego zdania osnuło się tysiąc komentarzy, z których wybrał oczywiście najpochlebniejszy:

— Jeżeli wicehrabina chce mnie kochać — myślał — nie ulega kwestii, że jako inteligentna kobieta, woli Szwajcarię, gdzie nikt nas nie zna, od Francji, gdzie by się nią zajmowano.

²⁵*berlinka* — rodzaj powozu konnego. [przypis edytorski]

Niektórym uczuciowym ludziom nie podobałaby się kobieta dość sprytna, aby wybrać sobie teren, ale to są grymaśnicy. Zresztą nic nie dowodzi, aby przypuszczenie Gastona było prawdziwe.

Wicehrabina wynajęła mały domek nad jeziorem. Kiedy się tam rozgościła, pewnego pięknego wieczora o zmierzchu, Gaston się zjawił. Jakub, lokaj na wskroś arystokratyczny, nie zdziwił się, widząc pana de Nueil i oznajmił go jak służący przywykły wszystko rozumieć. Słyszając to imię, widząc młodego człowieka, pani de Beauséant upuściła książkę, którą miała w ręce, zdumienie jej dało Gastonowi czas, aby podejść i rzec głosem, który wydał się jej upajający:

— Z jakąż rozkoszą najmowałem konie, które panią wiozły!

Być tak cudownie wysłuchaną w swoich tajemnych pragnieniach! Gdzież jest kobieta, która by nie uległa takiemu szczęściu? Włoszka, jedna z owych boskich istot, których dusza jest na antypodach Paryżanki i którą z tej strony Alp osądzono by jako głęboko niemoralną,

powiadała czytając francuskie romanse: „Nie rozumiem, po co ci biedni kochankowie tracą tyle czasu na mozolenie się z tym, co powinno być sprawą jednego popołudnia”. Czemu powieściopisarz nie mógłby, za przykładem tej zanej Włoszki, nie męczyć nadto swoich słuchaczy ani swego tematu? Byłoby tu wprowadzić parę uroczych rysów zalotności, lube odwłoki, na jakie pani de Beauséant zechciała skazać szczęście Gastona, aby upaść z wdziękiem jak starożytnie dziewice; może też aby się sycić słodyczami pierwszej miłości i doprowadzić ją do najwyższego napięcia potęgi i siły. Pan de Nu-eil był jeszcze w wieku, gdy mężczyzna daje się wziąć na te kaprysy, na tę grę, która tak podnieca kobiety i którą przedłużają, bądź to aby wytargować swoje warunki, bądź aby się dłużej sycić swą władzą, której rychłe uszczuplenie przeczuwają instynktem. Ale te drobne ceregiele alkowiane, mniej liczne niż formalności konferencji londyńskiej, zajmują w historii prawdziwej miłości zbyt mało miejsca, aby o nich wspominać.

Pani de Beauséant i pan de Nueil spędzili trzy lata w willi nad jeziorem genewskim, którą wynajęła wicehrabina. Żyli tam sami, nie widując nikogo, nie zajmując sobą nikogo, pływając łódką, wstając późno, słowem, szczęśliwi tym szczęściem, o którym marzymy wszyscy. Domek ich był skromny, z zielonymi żaluzjami, otoczony szerokim balkonem z płóciennym daszkiem, prawdziwy domek kochanków: mieszkanko z białymi kanapami, cichymi dywanami, świeżymi obiciami, gdzie wszystko lśniło radością. Z każdego okna jezioro ukazywało się w innej postaci; w oddali góry i ich mgliste, barwne, ulotne kontury; nad nimi piękne niebo, przed nimi długi obrus wody kapryśnej, zmiennej! Wszystko dokoła zdawało się marzyć, wszystko im się uśmiechało.

Poważne sprawy powołały pana de Nueil do Francji: brat i ojciec jego umarli; trzeba było opuścić Genewę. Kochankowie kupili ten dom, byliby chcieli skruszyć góry i spuścić wodę z jeziora, aby zabrać wszystko z sobą. Pani de Beauséant udała się za panem de Nueil.

Spieniżyła swój majątek, kupiła w sąsiedztwie Manerville znaczną posiadłość przylegającą do majątku Gastona i tam mieszkali razem. Pan de Nueil oddał bardzo rycersko matce swojej dochód z Manerville w zamian za swobodę, jaką mu zostawiła w trybie życia. Majątek pani de Beauséant znajdował się tuż koło miasteczka w jednej z najładniejszych okolic doliny Auge. Tam kochankowie wzniesli między sobą a światem zapory, których ani przesady społeczne, ani ludzie nie mogli przebyć, i odnaleźli swoje piękne dni z Szwajcarii. Przez całych dziewięć lat kosztowali szczęścia, którego nie ma potrzeby opisywać; zakończenie tej przygody pozwoli z pewnością odgadnąć wszystkie jego słodcze tym, których dusza zdolna jest zrozumieć poezję i modlitwę w tysiącu ich odcieni.

Tymczasem margrabia de Beauséant (ojciec jego i starszy brat umarli), mąż pani de Beauséant, cieszył się doskonałym zdrowiem. Nic lepiej nie działa na nasze zdrowie niż pewność, iż uszczęśliwilibyśmy kogoś naszą śmiercią. Pan

de Beauséant był to jeden z owych ironicznych i upartych ludzi, którzy, podobni właścicielom dożywocia, znajdują jedną przyjemność więcej, budząc się co rano w doskonałym zdrowiu. Poza tym wielki galant²⁶, nieco metodyczny, ceremonialny, wyrachowany, zdolny oświadczyć swą miłość kobiecie równie spokojnie jak lokaj powiada: „Dano do stołu”.

Ta notatka biograficzna co do osoby margrabiego ma na celu podkreślić brak wszelkich widoków na połączenie margrabiny z panem de Nueil.

Otóż po tych dziewięciu latach szczęścia, najśłodszych, jakie kobieta zdołała kiedy przeżyć, pan de Nueil i pani de Beauséant znajdowali się w położeniu równie naturalnym i równie fałszywym jak to, w którym tkwili od początku tej przygody; moment fatalnego przesilenia, moment, który trudno jest uchwycić, ale którego terminy można oznaczyć z matematyczną ścisłością.

²⁶*galant* — mężczyzna odznaczający się wyszukaną uprzejmością. [przypis edytorski]

Hrabina de Nueil, matka Gastona, nie zgodziła się nigdy uznać pani de Beauséant. Była to oschła i cnotliwa kobieta, która wielce legalnie dopełniała szczęścia nieboszczyka pana de Nueil. Pani de Beauséant zrozumiała, że ta czcigodna matrona musi być jej wrogiem i że będzie się starała wyrwać Gastona z tego niemoralnego i bezbożnego życia. Byłaby wolała sprzedać majątek i wrócić do Genewy. Ale to by znaczyło okazać nieufność Gastonowi, nie była zdolna do tego. Zresztą on właśnie bardzo się zapalił do posiadłości Valleroy, gdzie rozpoczął różne melioracje²⁷. Czyżby to nie znaczyło wyrwać go z owego mechanicznego szczęścia, którego kobiety pragną zawsze dla swych mężów, a nawet dla kochanków? Pojawiła się w okolicy niejaka panna de la Rodière: dwadzieścia dwa lata i czterdzieści tysięcy franków renty. Gaston spotykał tę herytierę²⁸ w Manerville za każdym razem, kiedy obowiązki go tam sprowadzały. Osoby te były tedy niby cy-

²⁷*melioracja* — zabiegi, których celem jest ulepszenie produkcyjnego potencjału ziemi. [przypis edytorski]

²⁸*herytiera* (z fr.) — dziedziczka. [przypis edytorski]

fry w zrównaniu arytmetycznym, a następujący list, doręczony pewnego ranka Gastonowi, wytłumaczy okropny problem, który od miesiąca pani de Beauséant siła się rozwiązać.

„Aniele mój drogi, pisać do Ciebie, kiedy żyjemy serce przy sercu, kiedy nas nic nie dzieli, kiedy pieszczoty tak często służą nam za słowa, a słowa są również pieszczotami, czyż to nie jest niedorzeczność? Otóż nie, Jedyny mój. Są pewne rzeczy, których kobieta nie może wymówić w obliczu swego kochanka. Sama myśl o nich odbiera jej głos, ściąga jej wszystką krew do serca: staje się bez siły i bez myśli. Czuć się tak koło Ciebie, to mi sprawia ból, a często tak się czuję. Czuję, że moje serce powinno być dla Ciebie tylko prawdą, że nie powinnam Ci ukrywać żadnej myśli nawet najprzelotniejszej; za- nadto kocham tę miłą swobodę, z którą mi jest tak dobrze, aby pozostać dłużej skrępowana i nieswoja. Toteż zwierzę

Ci moje obawy: tak, obawy. Wysłuchaj mnie, nie rób tego żartobliwego *ta ta ta...* którym mi zamykasz usta z ową bezceremonialnością, którą lubię, bo w Tobie wszystko mi się podoba.

Drogi Małżonku wobec nieba, pozwól mi sobie powiedzieć, że wymazałeś wszelką pamięć cierpień, pod których brzemieniem życie moje ugięło się niegdyś. Poznałam miłość jedynie przez Ciebie. Trzeba było Twojej niewinnej młodości, Twojej czystej a wielkiej duszy, aby zadowolić serce kobiety wymagającej. Drogi mój, często drżałam z radości na myśl, że przez tych dziewięć lat, tak szybkich i tak długich, zazdrość moja nie zbudziła się ani razu. Miałam wszystkie kwiaty Twej duszy, wszystkie Twoje myśli. Nie było najlżejszej chmurki na naszym niebie, nie wiedzieliśmy, co to ofiara, zawsze byliśmy posłuszni natchnieniom serca. Kosztowałam szczęścia bez granic. Łzy, które wilżą tę kartę, czy ci wyrażą całą mą wdzięczność?

Pragnęłabym to pisać na kolanach. Otóż to szczęście dało mi poznać męczarnię okropniejszą, niż była niegdyś męka opuszczenia. Drogi mój, serce kobiety ma bardzo głębokie zakamarki: do dziś sama nie znalazłam granic mego serca, jak nie znalazłam granic miłości. Największe nieszczęścia, jakie mogą spaść na nas, jeszcze są lekkie w porównaniu z samą myślą o nieszczęściu tego, kogo kochamy. A gdybym to ja była przyczyną tego nieszczęścia, czyżby nie można umrzeć od tej myśli?... Oto, co mnie dręczy. Ale ta myśl wlecze za sobą drugą, jeszcze o wiele cięższą: a ta myśl kała piękno miłości, zabija ją, czyni z niej upokorzenie, plami na zawsze życie. Ty masz trzydzieści lat, a ja czterdzieści. Ileż lęków ta różnica wieku budzi w kochającej kobiecie? Ty mogłeś, zrazu mimo woli, później poważnie uczuć ofiarę, jaką uczyniłeś, wyrzekając się dla mnie wszystkiego. Pomyślałeś może o swojej karierze, o małżeństwie, które siłą rzeczy musi pomnożyć

Twój majątek, pozwoli ci zażywać jawnego szczęścia, mieć dzieci, spadkobierców, żyć w świecie i zająć w nim zaszczytne miejsce. Może zdławiłeś te myśli, szczęśliwy, że dla mnie, bez mojej wiedzy poświęcasz świetne małżeństwo, majątek, przyszłość. W swej młodzieńczej szlachetności chciałeś zostać wierny przysięgom, które nas wiążą jedynie w obliczu Boga. Wspomniałeś moje dawne cierpienie, owo nieszczęście, z którego mnie wyrwałeś, posłużyło mi za tarczę. Zawdzięczać Twoją miłość litości! Ta myśl jest dla mnie jeszcze okropniejsza niż obawa, że ci łamię życie. Ci, którzy umieją zasztyletować kochankę, są bardzo miłosierni, kiedy ją zabijają w chwili, gdy jest szczęśliwa, niewinna, w pełni złudzeń... Tak, śmierć lepsza jest od tych dwóch myśli, które od kilku dni trawią potajemnie moje godziny. Wczoraj, kiedy mnie spytałeś tak łagodnie: »Co Tobie?...«, twój głos przyprawił mnie o dreszcz. Zdało mi się, że wedle

zwyczaju czytasz w mojej duszy; czekałam twoich wynurzeń, wyobrażając sobie, że dobrze odgadłam rachuby twego rozsądku. W dobroci Twojej, mimo że do niej przywykłam, zdało mi się, że widzę przymus, ciężar, który dźwigasz. W tej chwili drogo opłacałam moje szczęście; uczułam, że natura zawsze nam sprzedaje skarby miłości. W istocie, czyż los nas nie rozłączył? Powiedziałeś sobie: »Prędzej czy później, muszę opuścić tę biedną Klarę, czemu się z nią nie rozstać w porę?« To zdanie było wypisane na dnie Twego spojrzenia. Odeszłam, aby się wyplakać z dala od Ciebie. Kryć Ci moje łzy! To pierwsze łzy, jakie zgryzota wycisnęła mi od dziesięciu lat, a jestem za dumna, aby ci je pokazać, ale nie oskarżałam cię. Tak, masz słuszość, nie powinnam być tak samolubna, aby wiązać Twoje życie, świetne i długie, z moim niebawem zużyтым... Ale gdybym się myliła?... Gdybym wzięła zadumę miłosną za trzeźwość rozsądku?... Och, Anie-

le mój, nie zostawiaj mnie w niepewności, ukarż Twą zazdrosną żonę, ale wróć jej świadomość, jej i Twojej miłości: cała kobieta jest w tym uczuciu, ono uświęca wszystko. Od przybycia Twojej matki, odkąd ujrzałeś u niej pannę de La Rodière, stałam się pastwą wątpień, które są dla nas hańbą. Zadaj mi ból, ale nie oszukuj mnie; chcę wszystko wiedzieć, i to, co mówi Twoja matka, i co Ty o tym myślisz! Jeśli się zawahałeś między czymkolwiek w świecie a mną, wracam ci wolność... Skryję Ci mój los, będę umiała nie płakać przy Tobie, tylko nie chcę Cię już widzieć... Och, nie mogę, serce mi pęka .

.....

Siedziałam martwa i otepiała przez kilka chwil. Drogi mój, nie mam dumy wobec Ciebie, Tyś taki dobry, taki szczery! Nie byłbyś zdolny zranić mnie ani oszukać, ale powiesz mi prawdę, choćby najokrutniejszą. Czy chcesz, abym Ci ułatwiła Twoje wyznanie? A więc, moje Serce,

pocieszy mnie bardzo kobieca myśl. Czyż nie posiadałam w Tobie istoty młodej i wstydlivej, sam wdzięk, samą piękność, samą delikatność, Gastona, którego żadna inna nie może już znać, a którym ja się rozkosznie syciłam... Nie, nie będziesz już kochał nikogo tak, jak mnie kochałeś, jak mnie kochasz; nie, nie mogę mieć rywalki. Kiedy będę myślała o naszej miłości — a to jest moja cała myśl — wspomnienia moje będą wolne od goryczy. Czyż będzie jeszcze kiedy w Twej mocy czarować kobiety owymi dziecinnymi figlami, młodocianymi igraszkami młodego serca, ową zalotnością duszy, wdziękiem ciała i owym błyskawicznym porozumieniem rozkoszy, słowem: cudownym orszakiem, który towarzyszy młodzieńczej miłości? Teraz jesteś mężczyzną, będziesz szedł swoją drogą, obliczając wszystko. Będziesz miał zajęcia, troski, ambicje, zgryzoty, które ją pozbawią owego ciągłego i niezmiennego uśmiechu, jaki zawsze stroił dla mnie

Twoje wargi. Twój głos, dla mnie wciąż tak słodki, będzie czasami opryskliwy. Twoje oczy, zawsze rozjaśnione na mój widok niebiańskim blaskiem, będą się często chmurzyły dla *niej*. A wreszcie, ponieważ niepodobna jest kochać tak, jak ja Ciebie Kocham, ta kobieta nie będzie ci się podobała tak, jak ja Ci się podobałam. Nie będzie tak wciąż czuwała nad sobą jak ja czuwałam, ani nie będzie tak nieustannie wmyślała się w Twoje szczęście, które tak nauczyłam się rozumieć. Tak, człowiek, serce, dusza, które je znałam, nie będą już istniały; pogrzebię je w moim wspomnieniu, aby się nimi sycić jeszcze i aby żyć szczęśliwa tym pięknym minionym życiem, nieznanym wszystkim oprócz nas.

Mój drogi skarbie, jeśli wszakże nie miałeś najlżejszej tęsknoty za swobodą, jeśli miłość moja Ci nie ciąży, jeśli obawy moje są urojeniem, jeżeli jestem dla Ciebie zawsze twoją EWA, jedyną kobietą na świecie, wówczas po przeczytaniu tego li-

stu przybądź! Przybiegnij! Och! Ukocham Cię w jednej sekundzie więcej, niż Cię kochałam — tak mi się zdaje — przez tych dziewięć lat. Po daremnej męczarni podejrzeń, o które się obwiniam, każdy dzień dodany do naszej miłości, tak, jeden dzień, będzie całym życiem szczęścia. Zatem, mów! Bądź szczery, nie zwódź mnie, to byłaby zbrodnia. Powiedz? Chcesz odzyskać wolność? Czyś się zastanowił nad swym życiem? Żałujesz? Ja powodem Twego żalu? Nie przeżyłabym tego. Powiedziałam Ci: kocham Cię na tyle, aby przełożyć Twoje szczęście nad moje, Twoje życie nad moje. Porzuć, jeśli możesz, cudne wspomnienie naszych dziewięciu lat szczęścia, iżby nie wpływały na Twoje postanowienie; ale mów! Poddaję Ci się jak Bogu, temu jedynemu pocieszycielowi, który mi zostaje, jeśli Ty mnie opuścisz”.

Kiedy pani de Beauséant dowiedziała się, że jej list znajduje się w rękach Gastona, po-

padła w przygnębienie tak ciężkie i w zadumę tak głęboką wskutek nadmiaru myśli, że była jakby uśpiona. Cierpiała owym bólem, którego siła nie zawsze jest w stosunku do sił kobiety i który jedynie kobiety znają. Podczas gdy nieszczęsna Klara czekała swego losu, pan de Nueil czytał jej list mocno *zakłopotany*, wedle wyrażenia używanego przez młodych ludzi w tego rodzaju krytycznych chwilach. Niemal już ustąpił naleganiom matki i powabom panny de La Rodière, młodej osoby dość nijakiej, prostej jak topólka, białej i różowej, prawie niemej w myśl programu zaleconego wszystkim pannom na wydaniu; ale jej czterdzieści tysięcy franków renty w ziemi dostatecznie przemawiały za nią. Pani de Nueil, wspomagana szczerym macierzyńskim przywiązaniem, starała się sprowadzić syna do Cnoty. Zwracała mu uwagę, jak pochlebny jest dlań wybór panny de La Rodière, której nadarza się tyle bogatych partii: czas pomyśleć o swoim losie, tak piękna sposobność nie zdarzy się już; miałby w ten sposób kiedyś ośmdziesiąt tysięcy renty w zie-

mi; majątek stanowi najlepsze pocieszenie; jeżeli pani de Beauséant kocha go dla niego samego, pierwsza powinna namawiać go do małżeństwa. Słowem, dobra matka nie zapomniała o żadnym ze sposobów, jakimi kobieta może wpłynąć na mężczyznę. Toteż doprowadziła syna do tego, że się wahał. List pani de Beauséant przyszedł w chwili, gdy miłość Gastona walczyła przeciw wszystkim pokusom życia uregulowanego zgodnie z pojęciami świata; ten list rozstrzygnął walkę. Postanowił rzucić margrabinę i ożenić się.

— Trzeba być mężczyzną! — powiedział sobie.

Potem wyobraził sobie ból, jaki postanowienie jego zada kochance. Męska próżność, jak również sumienie kochającego człowieka, powiększały jeszcze ten ból, zdjęła go szczerą litość. Odczuł nagle to olbrzymie nieszczęście i uważał za potrzebne, za miłosierne złagodzić tę śmiertelną ranę. Miał nadzieję, iż zdoła doprowadzić panią de Beauséant do spokoju i do tego, iż sama zacznie go namawiać na

to okrutne małżeństwo. Chciał ją stopniowo oswoić z myślą o koniecznym rozstaniu, ukazując wciąż między nimi pannę de La Rodière jak widmo, poświęcając zrazu swoje zamiary, aby dać je sobie wmówić potem. Aby osiągnąć swój cel w tym litosnym dziele, posuwał się aż do tego, że liczył na szlachetność, na dumę margrabiny, na piękne przymioty jej duszy. Odpisał jej, aby uspić jej podejrzenia. List! Dla kobiety, która z intuicją prawdziwej miłości łączyła najdelikatniejszą wrażliwość kobiecą, list był wyrokiem. Toteż, kiedy Jakub wszedł i zbliżył się do pani Beauséant, aby jej podać trójgraniasto złożony papier, biedna kobieta zadrżała jak schwytana jaskółka. Nieznany chłód przeszedł ją od głowy aż do stóp, spowijając ją w lodowaty całun. Jeżeli nie przybiegał do jej kolan, jeżeli nie przychodził zapłakany, blady, kochający, wszystko przepadło. A jednak tyle jest nadziei w sercu kobiet, które kochają! Trzeba dużo ciosów sztyletu, aby je zabić, kochają i krwawią aż do ostatniego.

— Czy jaśnie pani potrzebuje czego? — spytał Jakub z cicha, odchodząc.

— Nie — rzekła.

— Poczciwy człowiek — pomyślała ocierając łzę — on mnie zgaduje, on, służący!

Przeczytała: *Droga moja, dręczysz się urojeniami...* Kiedy ujrzała te słowa, gęsta zasłona rozpostarła się na oczach margrabiny. Tajemny głos serca krzyczał jej: „On kłamie”. Następnie, ogarniając wzrokiem całą pierwszą stronę z ową gorączkową jasnością, jaką daje namiętność, przeczytała u dołu te słowa: *Nic nie jest postanowione...* Obracając konwulsyjnie kartkę, ujrzała wyraźnie ducha, który podyktował zawile zdania tego listu, gdzie nie znalazła już porywu miłości: zmięła list, podarła, zwinęła, pogryzła go, rzuciła w ogień i wykrzyknęła:

— Och! Nikczemny! Żył ze mną, nie kochając mnie już!...

Po czym wpółmartwa osunęła się na kanapę.

Pan de Nueil wyszedł, napisawszy swój list. Kiedy wrócił, zastał Jakuba na progu. Jakub oddał mu list, mówiąc:

— Pani margrabiny nie ma już w zamku.

Pan de Nueil zdziwiony rozdarł kopertę i przeczytał: „Pani, gdybym przestał Panią kochać, godząc się z Pani rozkazu stać się pospolitym człowiekiem, niech Pani przyzna, że byłbym godnym mego losu. Nie, nie usłucham Pani i przysięgam Pani wierność, którą rozwiąże jedynie śmierć. Och! Weź moje życie, chyba że się nie lękasz zagoryczyć swego życia wyrzutem”...

Był to list, który napisał do margrabiny w chwili, gdy wyjeżdżała do Genewy. Pod spodem Klara Burgundzka dodała: *Jest pan wolny.*

Pan de Nueil wrócił do matki do Maneville. W trzy tygodnie później odbył się jego ślub z panną Stefanią de La Rodière.

Gdyby ta historia tak pospolicie prawdziwa kończyła się tutaj, byłaby to niemal mistyfika-

cja. Czyż prawie każdy mężczyzna nie ma bardziej zajmującej do opowiedzenia? Ale głośne a niestety prawdziwe zakończenie, ale wszystko, co zdoła obudzić wspomnienia w sercu tych, którzy znali niebiańskie rozkosze bezgranicznej miłości i skruszyli ją sami lub też stracili przez jakąś okrutną fatalność, osłoni może to opowiadanie przed krytyką. Margrabina de Beauséant nie opuściła swego zamku w chwili rozstania z panem de Nueil. Dla mnóstwa przyczyn, których sekret trzeba zostawić sercu kobiet — każda zresztą wybierze te, które jej będą odpowiadać — Klara mieszkała tam dalej po ślubie pana de Nueil. Żyła w tak zupełnej samotności, że służba, z wyjątkiem pokojowej i Jakuba, nie widywała jej. Wymagała w domu bezwarunkowej ciszy, opuszczała swój apartament, jedynie aby się udać do kaplicy, gdzie ksiądz z sąsiedztwa przychodził odprawiać dla niej mszę co rano. W kilka dni po ślubie, hrabia de Nueil popadł w apatię, która mogła równie dobrze wyrażać szczęście jak nieszczęście. Matka jego mówiła wszystkim:

— Syn mój jest bardzo szczęśliwy.

Pani Gastonowa de Nueil, podobna do wielu młodych kobiet, była trochę bezbarwna, łagodna, cierpliwa; zaszła w ciążę w miesiąc po ślubie. Wszystko to było zgodne z utartymi pojęciami. Pan de Nueil był dla niej bardzo dobry, tylko w dwa miesiące po rozstaniu z margrabiną stał się nadzwyczaj smutny i zadumany. „Ale on zawsze był poważny”, powiadała matka.

Po siedmiu miesiącach tego mdłego szczęścia zaszły wypadki, lekkie na pozór, ale ogarniające tyle obszarów myśli i świadczące o tak wielkich wstrząsach duszy, iż trzeba nam je opowiedzieć po prostu i zostawić każdemu swobodny ich wykład. Jednego dnia pan de Nueil polując na ziemiach Manerville i Valleroy, wrócił przez park pani de Beauséant, kazał zawołać Jakuba, zaczekał na niego, kiedy zaś lokaj przyszedł, spytał:

— Czy pani margrabina zawsze lubi dziczyznę?

Kiedy Jakub dał twierdzącą odpowiedź, Gaston wręczył mu dość znaczną sumę popartą drobiazgowym tłumaczeniem, aby uzyskać od niego drobną usługę; chodziło o to, aby podać do stołu margrabiny ubitą zwierzynę. Jakubowi zdało się dość obojętne, czy jego pani będzie jadła kuropatwę zabita przez gajowego, czy przez pana de Nueil, zwłaszcza, iż hrabia żądał, aby margrabina nie знаła pochodzenia zwierzyny.

— Zabiłem to na jej gruncie — mówił.

Jakub pomagał przez kilka dni w tym niewinnym oszukaństwie. Pan de Nueil wychodził rano na polowanie i wracał do domu aż na obiad, nie zabiwszy nic nigdy. Tak minął cały tydzień. Gaston ośmielił się na tyle, iż napisał do margrabiny długi list i przesłał go. List zwrócono mu nieotwarty. Była prawie noc, kiedy służący margrabiny mu go odniósł. Naraz hrabia wypadł z salonu, gdzie na pozór słuchał *Kaprysu* Harolda masakrowanego na fortepianie przez żonę, i pobiegł do margrabiny z szybkością człowieka, który pędzi na schadz-

kę. Wskoczył do parku przez znajomy sobie wyłom w murze, szedł z wolna przez aleje, zatrzymując się chwilami jak gdyby dla powstrzymania głośnego bicia swego serca, po czym doszedłszy do zamku, przystanął nad słuchując. Sądził, iż cała służba jest przy stole. Posunął się aż do pokojów pani de Beauséant. Margrabina nie opuszczała nigdy sypialni, pan de Nueil zdołał dotrzeć do drzwi bez najmniejszego hałasu. Tam ujrzał przy blasku dwóch świec margrabinę bladą, wychudłą, siedzącą w wielkim fotelu, z pochylonym czołem, z obwisłymi rękami, z oczyma utkwionymi w przedmiocie, którego zdawała się nie widzieć. Był to ostatni wyraz bólu. Była w tej postawie nieokreślona nadzieja, ale nie wiadomo było, czy Klara Burgundzka patrzy w grób, czy w przeszłość. Może łzy pana de Nueil zabłysły w ciemnościach, może oddech jego rozległ się głośniejszy, może wstrząsnęło nim mimowolne drzenie lub może obecność jego nie mogła nie wywołać zjawiska

*intus-suscepji*²⁹ będącej zarazem chlubą, szczęściem i dowodem prawdziwej miłości. Pani de Beauséant obróciła z wolna twarz ku drzwiom i ujrzała dawnego kochanka. Hrabia postąpił kilka kroków.

— Jeżeli pan się zbliży — krzyknęła margrabina blednąc — rzucę się przez to okno!

Skoczyła do zasówki, otworzyła okno i stała z nogą na gzymsie, z ręką na balustradzie, z głową zwróconą do Gastona.

— Wyjdź pan, wyjdź pan — krzyczała — albo skaczę.

Na ten straszliwy krzyk, pan de Nueil, słysząc poruszenie wśród służby, uciekł jak złooczyńca.

Wróciwszy do domu, hrabia napisał bardzo krótki list i kazał służącemu zanieść go do pani de Beauséant, polecając mu powiedzieć margrabinie, że chodzi tu o życie i śmierć jego pana. Gdy lokaj odszedł, pan de Nueil wró-

²⁹*intus-suscepja* (z łac. *intus*: wewnętrzny; *susceptio*: obietnica wykonania czegoś) — wewnętrzne doświadczenie głębokiego zrozumienia; intuicja, przeczucie. [przypis edytorski]

cił do salonu i zastał tam żonę, która dalej dukąła nad *Kaprysem*. Usiadł, czekając na odpowiedź. W godzinę potem, po ukończeniu *Kaprysu*, małżonkowie siedli naprzeciw siebie w milczeniu po dwu stronach kominka. Służący wrócił i oddał swemu panu list nierozpieczętowany. Pan de Nueil przeszedł do przyległego buduaru, gdzie wracając z polowania zostawił strzelbę, i zastrzelił się.

To szybkie a fatalne zakończenie, tak sprzeczne z obyczajami młodej Francji, jest naturalne.

Ludzie, którzy dobrze zaobserwowali lub też rozkosznie doświadczyli zjawisk towarzyszących doskonałemu zespoleniu dwojga istot, rozumieją łatwo to samobójstwo. Kobieta nie urabia się, nie nagina się w jednym dniu do kaprysów namiętności. Rozkosz, niby rzadki kwiat, wymaga starań najwyrafinowańszej hodowli: jedynie czas, harmonia dusz mogą wydobyc z niej wszystkie możliwości, zrodzić owe tkliwe, subtelne słodycze, co do których żyjemy mnóstwo przesądów, uważając je za zrośnięte z osobą, której serce nam ich użycza. To

cudowne porozumienie, ta ślepa wiara i błogostawiona pewność, iż doznaje się osobliwego lub nadzwyczajnego szczęścia przy ukochanej istocie, to poniekąd tajemnica trwałych przywiązań i długich namiętności. Przy kobiecie posiadającej geniusz swej płci miłość nie jest nigdy nawykiem, jej cudowna tkliwość umie oblekać kształty tak różnorodne, wkłada tyle sztuki w swoją naturę lub naturalności w swoje sztuki, że staje się równie potężną wspomnieniem, co obecnością. Przy niej wszystkie kobiety bledną. Trzeba było drzeć, że się utraci miłość tak rozległą, tak wspaniałą lub też stracić ją, aby znać całą jej cenę. Ale, jeżeli poznawszy ją, człowiek wyrzekł się jej, aby popaść w jakieś zimne małżeństwo, jeżeli kobieta, z którą spodziewał się znaleźć te same słodcze, dowiedzie mu paroma owymi faktami zagrzebanymi w mrokach sypialni małżeńskiej, że nie odrodzą się już one dla niego, jeżeli ma jeszcze na wargach smak niebiańskiej miłości, a zranił śmiertelnie swą prawdziwą małżonkę na rzecz społecznej chimery, wówczas trzeba

mu umrzeć lub też zdobyć się na ową materialną, samolubną, zimną filozofię, która budzi wstręt w kochających duszach.

Co się tyczy pani de Beauséant, napoiwszy kochanka obficie miłością przez dziewięć lat, nie sądziła zapewne, aby rozpacz jego posunęła się aż do samobójstwa. Może sądziła, że tylko ona jedna będzie cierpieć. Była zresztą najzupełniej w prawie uchylić się od najwstrętniejszego podziału, jaki istnieje, który żona może znosić przez wzgląd na wysokie racje społeczne, ale którym kochanka musi się brzydzić, ponieważ czystość jej miłości jest całym jej usprawiedliwieniem.

Angoulême, wrzesień 1832 r.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/balzac-komedia-ludzka-kobieta-porzucona>

Tekst opracowany na podstawie: Honoré de Balzac, *Komedia ludzka, Kobieta porzucona*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Przekłady Boy'a, t. 88, wyd. Drukarnia Krajowa, Warszawa 1926

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aneta Rawska, Dorota Kowalska, Maja Kurpiewska, Marta Niedziałkowska.

Okladka na podstawie: Portret Zofii z Branickich Potockiej (1790-1879), Ferdinand Maröhn, domena publiczna

ISBN 978-83-288-0065-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska,
HONORÉ DE BALZAC *Kobieta porzucona* 96
KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę